



# ODGŁOSY

► PO PLENUM KŁ PZPR POŚWIĘCONYM SPRAWOM KULTURY — Jerzy Wawrzak ► O CZYM TRZEBA PAMIĘTAĆ — Konrad Fiejdlch ► CO NOWEGO ZA MUREM CHIŃSKIM — Jerzy Czech ► KONKURENCJA DLA HOMO SAPIENS — Bogdan Krakowian ► „TOPIELICA” — Edward Kopczyński ► WIERSZE — Tadeusz Gicgier ► ŻYCIE AKADEMICKIE — Marcin Rodak ► WSPOMNIENIA KARIN STANEK ► SPOŹNIONE, ALE CENNE — Lektor ► FELIETONY ► REPORTAŻE ► RECENZJE ► LISTY ► POLEMIKI ►



ANDRZEJ MAKOWIECKI

## PORTRET DZIELNICY CZERWONEJ

Czerwień jest symbolem. Czerwień to rogata dusza Widzewa: wspomnienie, które przetrwało tułając się po zaułkach starych fabryk.

— Czerwień? — Inżynier, z którym gawędzę na ławce w parku „Źródlika”, wrusza ramionami. — Jasne, mam szacunek do czerwień. Mój dziad był czerwony i mój ojciec. Cała moja rodzina była i jest czerwona. Ale czerwień to kolor krwi, czcionka historii, rewolucja, która zdążyła się już dokonać i wojna, której nigdy już nie będzie.

Zamyśla się. Czterdziestopięcioletni, ogorzały mężczyzna, o bitym wnętrzu, coś jakgdyby z lejka podniecony.

— Za torami pan był? — Atakuje mnie nagle z błyskiem w oczach.

— Nie.

— No to niech pan jedzie za torami!

— A co tam jest? — pytam. — No... za tymi torami.

— Tam jest inny Widzew.

— Jaki?

— Różnoraki...

Rozmowa przede mną panoramę widzewskiego przedmieścia. Mówi o ulicy Rokicińskiej, która biegnie na Andrzeja wśród małych, ugorzonych poletek. Wąlowej, która wieje się gwałtownie wzdłuż kolejowego nasypu. Pochylone nad jezdnią litarnie świadczą o tym, że jesteśmy w Łodzi. Jakaś w murawianym domku, ciepły spóżywczy, kiosk, petla autobusów. Tak, to ciagle jeszcze Łódź. Ale Łódź? Żelwna, darterowa, drewniana tu i tam okryta słoma. Łódź bez gazu i wody, która do nosi się z odległych studni albo dowozi z miasta w stultitrowych beczkowozach. Łódź bez kanalizacji, która zastępuje spryskane wapnem rynsztoki i bez chodników, zamiast których ciągną się piaszczyste drożki. Łódź wydawałoby się biedna, a przecież po swoim szczyśle: wai na ławkach beczą owce, w zagrodach gładzą kury, do każdej pocerzaniat chaluپی przywleża ogródek i kwiaty drzewa owocowe, lawki, edzenieżdzie altanki. Na ganekach starzy ludzie oróża się z lubością w słonec. Dziadek pali skreta, babina rozwiesza pranie. Sowią ich, jak im się żyje, a nabiora wody w usta. Ale powiedz tylko, że od jutra muszą iść do bloków!

— Nie chcą?

— Pewnie, że nie chcą.

— Więc po co mi pan to wszystko opowiada — mówię ze złością do inżyniera Białka. — Mnie potrzebny jest obraz jasny, konsekwentny. Jak dobrze to dobrze, ale jak bida, to taka, której ludzie chcą się pozbyć.

— No tak — kiwa głową Białek i uśmiecha się z pobłażaniem, za którym także kryje się złość. — Pan szuka logiki. Panu potrzebna jest gotowa cenzurka. Pana nie obchodzi poplątane, nieraz sprzeczne ze sobą myśli i pragnienia człowieka. Pan chce mieć po prostu prawdę statystyczną, ale powinien pan wiedzieć, że będzie to tylko połowiczna praw-

da, że Widzew posiada wiele różnych barw i wiele różnych twarzy.

— Podobnie jak każda dzielnica.

— Podobnie, ale nie tak samo. Weźmy dla przykładu Księży Młyn. Zna pan te strony?...

I znowu wpada mi monotonna, cicha ton opowieści. Kolonia kamieniczek z bordowej, przyszarzałej cegły. Uliczki wąskie i puste, izolujące surową czystością. Podwórka wybrukowane kocimi łbami, rzędy spletych kłódkami komórek, z których każda jest czyjaś święta własnością. Księży Młyn to żywy i piękny skansen, ukryty przed oczami przechodnia. Księży Młyn, jeśli ktoś ma trochę wyobraźni, może być miasteczkiem z bajki Andersena. Sztuczne kwieciele w półotwartych oknach, koty wygrzewające się na wyłożonych derkami parapetach, ludzie, którzy chodzą powoli i spokojnie, i mają dla siebie trochę usniechu, świadomi, niby ogromna rodzina, własnej odrębności i szczerze wspólnoty, gotowi stanąć zwartym frontem w obronie swego przyzwoćka.

— A co będzie, jeśli zaczną ich rozbiierać?

— Nie zaczną! — ucina krótko inżynier Białek.

— Skąd pan wie?

— Bo wiem. Zresztą, niech pan to sprawdzi w Urzędzie Dzielnicy. Ci za torami, owszem, pójdą z czasem do rozbiórki. Po prawej stronie Rokicińskiej powstanie przeciwieństwo w najbliższych latach czterdziestodwutysięczne osiedle WIDZEW-WSCHÓD a po lewej, w kierunku północno-wschodnim, dwudziestotysięczny „Henryków”. Ci za torami, to znaczy: niektórzy z nich, już musieli ustąpić na rzecz nowej elektrowni: EC-4, która powstanie szybko na skraju dzielnicy i będzie jedną z największych miejskich inwestycji tego typu w Europie. Ci za torami, ni to robotnicy, ni chłopci, których do snu kołysze wiatr, a rankiem budzą koguty, znajdują się niedługo w niezłym kotle: zobaczą trochę życia i techniki, przyjrzą się z bliska koparkom i dźwigom, i ostatecznie na pewno na tym nie stracą — dostaną wreszcie gaz, kanalizację, bieżącą wodę i ciepło z nowej elektrowni, dostaną mieszkania w blokach, i to wedle precedensowej zasady: jeden czło-

wiek — jedna izba, czyli: sześćdziesiąt dwa tysiące obywateli — sześćdziesiąt dwa tysiące izb. Ci za torami wygrali zaocznie wielki los na loterii, jeśli zaś chodzi o tych z Księżego Młyna...

— Właśnie! — wpadam Białkowi w słowo. — Nikt się o nich nie zatroszczy? Tak zaocznie?!

— Głupstwa pan gada! — krzyczy na mnie inżynier Białek, i widzę, jak gra mu na szyi wzburzone jabłko Adama. — Byłeś pan kiedy w jednym z tych księżomłynskich mieszkań? U takiej na przykład Czesławy Gulek? Idź pan, na pewno paną wpuści i ugości! Zobaczysz pan przy okazji, jak ona to swoje osiedle kocha. A tacy jak ona są wszyscy!

— No dobrze. Wszyscy, czyli również ci z drugiego krańca Łodzi, z torów. Gdzie tu sprawiedliwość, żeby jednym na siłę uszczęśliwiać, a innym pozostawiać w spokoju swoim nieszczęśliwym przyzwyczajeniom?

— Matko kochana, jaki z pana namolny drań! Za torami ma pan rozeschle, łatwopalne, średniowieczne chałupy wzdłuż zięjących rynsztoków, a na Księżym Młynie mury są zdrowe, i to zdrowe jak jasna cholera! Jeśli panu dorzucę, że w tych murach władza przeprowadza teraz porządki i remonty, że wszędzie jest gaz i kanalizacja i bieżąca woda, że powstanie tam z takiej samej, ciemnobordowej cegły stylowa poczta i knajpka żywcem z ubiegłego wieku, a nad wszystkimi dachami zapłoną prawdziwe gazowe latarnie, to chyba ma pan oko artysty... Kawalek Łodzi turystycznej z Księżego Młyna się zrobi, ja panu mówię!

— A co pan powie — zmieniam temat czując, że znowu biję w słabiznę — co pan powie o domkach Kuntitera?

— Nic! — odparowuje sykłem inżynier Białek. I z miejsca wpada w monolog.

Dalszy ciąg na str. 4

BOGDAN KRAKOWIAN

## KONKURENCJA DLA HOMO SAPIENS

„Papuga siedząc na ramieniu doktora kiwnęła mi z powagą głową i odezwała się ku memu zdziwieniu najczystsza angielszczyzną:

— Dzień dobry, chłopcze! Przypominam sobie te noc, kiedy się urodziłem. Była strasznie mroźna zima. A ty byłeś bardzo brzydkim niemowcem.

— Stubbins chciałby bardzo nauczyć się języka zwierząt — powiedział doktor”.

HUGH LOFTING: „Podróże doktora Dolittle”.

Niewiele jest osób, które w dzieciństwie nie zachwycały się uroczymi książkami o doktorze Dolittle — człowieku znającym mowę zwierząt. Jednakże w miarę wyrastania z okresu dziecięcego przybawało także sceptycyzmu i bardzo szybko okazało się, że pobudzające wyobraźnię małe opowieści trzeba było między bajki włożyć.

Jest rzeczą dowiedzioną, iż zwierzęta komunikują się między sobą. Używają one jednak systemu sygnałów, który w sposób zasadniczy różni się od ludzkiego języka. Podstawową cechą każ-

dego ludzkiego języka jest jego złożona struktura, która pozwala wyrażać różnorakie treści przy pomocy pewnej, ograniczonej liczby elementów, które mogą być łączone (w zgodzie z określonymi regułami) w wieksze całości. Sygnały używane przez zwierzęta pozbawione są takiej wewnętrznej struktury i w związku z tym nie mogą być rozkładane na elementy, z których można by tworzyć nowe sygnały; sygnały takie funkcjonują jako całościowe „wypowiedzi”.

Dalszy ciąg na str. 5

ANDRZEJ BLAJER

TAJNA HISTORIA KONCERNU (III)

## BUSINESS PRZED WSZYSTKIM

Do 8 grudnia 1941 roku, kiedy to Japończycy podstępnie zaatakowali główne siły amerykańskiej w Pearl Harbor na Hawajach, w ślad za czym nastąpił solidaryzujący się z nimi krok ze strony Niemiec, to jest wypowiedzenie wojny Ameryce — świetnie rozwijający się interes Behna nie napotykał trudności, ani też szczególne zainteresowanie rządu USA.

Z chwilą, gdy dłużej już nie można było pozostawać na uboczu konfliktu przekształcającego się coraz bardziej w konflikt światowy — rząd Stanów Zjednoczonych zaczął się intensywnie interesować powiązaniami ITT z firmami w państwach należących do Osi. Sporządzony w styczniu 1943 roku przez Federal Communications Commission (Federalną Komisję ds. Łączności) — tajny raport, prezentuje cały system rozgalezień w potężnej sieci ITT. Ukazuje on zarazem, jak konsern ITT jeszcze przed wojną pozwalał swoim niemieckim towarzyszom na coraz ściślejze zespalandie się z odpowiednimi firmami w państwach

neutralnych oraz jak „daleki — od zaniechania prowadzenia tych interesów, i od ewentualności zerwania kontaktów handlowych z państwami Osi przez akcjonariuszy w krajach neutralnych — był ITT w USA, podejmujący uporczywe wysiłki na rzecz otrzymania zezwolenia na nawiązanie podobnych stosunków handlowych z wrogami aliantów”.

Głównie zainteresowanie raportu FCC kierowało się na Amerykę, Łacińską, gdzie ITT nadal — po przy-

Dalszy ciąg na str. 6

RYSZARD BINKOWSKI

## WPROWADZENIE Z WIELKIM KWIKIEM

Na północny wschód od Wieruszowa, w płaskim krajobrazie piaszczystych pól przycupnęły skromnie GALEWICE, wieś schludna, ukwiecona, z hydrantami na ulicach, stacją benzynową i siecią sklepów branżowych w centrum. Kiedy dojeżdża się do wsi, po lewej stronie widać kompleks szarych budynków, niektóre długie, halowe, a nad nimi sterzący czerwony komin.

— Jak już tam będziemy — mówi nasrożony inspektor — to się pan przekonaj, że te gazetowe dane statystyczne nie są żadną propagandą ani cudziunkami wysznanymi z palca.

Wolałem się nie sprzeciwiać, bo inspektor powiatowy do spraw produkcji zwierzęcej, Stefan Nawrocki, miał swoją wagę; dwu takich jak ja musiałoby stanąć na przeciwnej szalce, żeby było równo.

— A jak się już zdecydowano na ten eksperyment, to wszyscy kręcili głowami i gadali, że będzie wielki bajzel. Przedtem był, to fakt, bo kierownik MBM też był „nie tego”, teren nie ogrodzony, traktorzyści jeździli, każdy na swój strój, ciągniki stały nieraz bezczynnie, a teraz,

Dalszy ciąg na str. 4

# SZKOŁA JUTRA

Jaka będzie szkoła najbliższej przyszłości? Jakie będą metody kształcenia przyszłych specjalistów? Jak zmieni się system naszej oświaty? Są to pytania, które nurtują społeczeństwo od dawna i które nadal są aktualne, bowiem proces doskonalenia szkolnictwa trwa i będzie nadal postępował. Podjęta niedawno uchwała Sejmu PRL stwarza podstawę dla wprowadzenia powszechnej szkoły dziesięcioletniej, a tym samym — podstawę do upowszechnienia w społeczeństwie średniego wykształcenia.

Dziesięcioletnia szkoła średnia stanie się powszechną w 1985 roku. Realizację tego zamierzenia rozłożono na etapy i obecnie nasz system oświatowy znajduje się na etapie opracowywania koncepcji i założeń organizacyjnych. Etap ten ma być zakończony do połowy 1975 roku. Należy to rozumieć w ten sposób, że nie tylko zostaną szczegółowo opracowane koncepcje przebudowy systemu oświatowego, ale również powszechna — przynajmniej w środowisku nauczycielskim — stanie się świadomością tych koncepcji, zamierzeń i szczegółowych planów.

Pierwszym krokiem w kształtowaniu takiej świadomości była niedawna narada, zwołana w Komitecie Łódzkim PZPR, w której obok działaczy oświatowych i nauczycieli wzięli udział: kierownik Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR — R. Jęzierski, wiceminister oświaty i wychowania — M. Godlewski, sekretarz KL PZPR — Z. Faliński i wiceprezydent miasta Łodzi — Z. Polt. W trakcie tej narady padło wiele interesujących uwag i poglądów, które pokazują z jaką troską i zainteresowaniem podchodzą nauczyciele do przebudowy systemu kształcenia w kraju. Mówiono o wielu różnych sprawach. Ze spraw tych świadomie wybieram tylko niektóre, wymagające szczegółowego omówienia, interesujące nie tyl-

ko nauczycieli, ale całe społeczeństwo.

Przebudowy szkolnictwa dokonywać będą nauczyciele, a więc poziom ich wiedzy, ich umiejętności, wykształcenie i doświadczenie decydują o skuteczności wprowadzanych zmian. Mając te świadomości już dziś trzeba właściwie przygotowywać nauczycieli do ich przyszłych zadań. Tym bardziej że w wyniku zachodzących przemian stale rośnie społeczne uznanie tego zawodu. Z prowadzonych badań wynika, że zarówno ludzie starsi, jak i młodzi, odpowiadając na ankiety socjologów, stawiają nauczycieli tuż po lekarzach w hierarchii społecznej wartości zawodów.

W Łodzi pracuje aktualnie 8544 nauczycieli, a wśród nich 74 proc. stanowią kobiety oraz 32 proc. osoby, które nie przekroczyły trzydziestego roku życia. Nie są to fakty bez znaczenia. Po pierwsze — wynika z nich, że proces feminizacji zawodu utrwalił się na dobre, a to ma swoje społeczne konsekwencje. Przede wszystkim dlatego, że nauczyciele muszą nieustannie doskonalić swoją wiedzę i to nie tylko na oficjalnie organizowanych kursach. A wiadomo, że kobietom jest znacznie trudniej znaleźć czas na szczegółowe lektury, na przesiadywanie w bibliotekach, na wnikliwe śledzenie publikacji zarówno w prasie specjalistycznej,

jak i kulturalno-społecznej. Po drugie — z podanych liczb wynika, że znaczna część łódzkich nauczycieli nie osiągnęła stanu stabilizacji życiowej, a to również — choć jest zjawiskiem naturalnym — nie należy do najkorzystniejszych.

Podane powyżej fakty nie są bez znaczenia również dlatego, że na 8544 nauczycieli w Łodzi 26,8 proc. posiada wykształcenie wyższe i legitymuje się dyplomem magisterskim, 42,8 proc. — ukończonym studium nauczycielskim i 17 proc. — średnim wykształceniem pedagogicznym lub specjalistycznym, a należą tu głównie wychowawcy przedszkoli i nauczyciele łódzkich szkół wszystkich szczebli, a w tym i przedszkoli, które przynajmniej na rok przed nauką w szkole powinny objąć swoją działalnością wszystkie dzieci, mają już w niedługim czasie realizować dziesięcioletni program powszechnego nauczania, to przedtem sami muszą uzupełnić swoje wykształcenie. Obserwując więc wprawdzie obecnie duże zainteresowanie doształcaniem, pozostają jednak obawy, czy proces ten nie jest zbyt powolny i czy postęp wprowadzania dziesięcioletniej szkoły nie wyprzedzi procesu doskonalenia wiedzy i umiejętności zawodowych nauczycieli?

Drugą istotną sprawą, która ściśle wiąże się z pierwszą, a na którą zwracano uwagę w wspomnianej naradzie, jest stan wyposażenia szkół. Jan Szczeptański w „Refleksjach nad oświatą” zwracał uwagę, że „podstawową cechą nowoczesnego społeczeństwa jest system oświaty zapewniający każdemu obywatelowi zdolność do takiego podejmowania decyzji w każdej sytuacji życiowej, aby te decyzje były optymalne z punktu widzenia interesów osobistych oraz interesów społeczeństwa”. Takie przygotowanie gwarantowałyby każdemu pełne uczestnictwo we wszystkich formach i dziedzinach życia. Ale,

aby to było możliwe szkoła musi nie tylko dysponować nowoczesnymi programami, ale też i nowoczesnym wyposażeniem. Musi istnieć ścisły jej kontakt z życiem, muszą działać różne formy powiązań ze środowiskami, musi funkcjonować jednolity system wychowania.

Stan wyposażenia szkół jest bardzo różny, co nie stanowi żadnego odkrycia, jak również i to, że oświata nie dysponuje sprawnie działającym systemem zaopatrywania szkół w nowoczesne i niezbędne pomoce naukowe. A przecież podstawowym założeniem dokonywanej reformy oświaty jest tworzenie warunków kształcenia nie dla teraźniejszości, ale dla przyszłości. Absolwenci zreformowanej szkoły, którzy już po 1985 roku będą wchodzić w życie, będą musieli działać w zupełnie różnych warunkach, diametralnie innych niż dziś, co gwarantujemy im zwiększonym stale wysiłkiem produkcyjnym, rozwojem nauki i techniki.

Problem jest jednak bardziej złożony niż to się może w pierwszej chwili wydawać, gdyż barierą do pokonania jest nie tylko poziom i tempo produkcji nowoczesnych pomocy naukowych, ale także zależności, jakie wynikają z ukształtowanymi stosunkami między szkołą a tymi środowiskami, które w myśl słusznych założeń mają współdziałać w procesie wychowywania i zawodowego kształcenia. Na wspomnianej naradzie padł przykład szkoły przygotowującej kadry dla gastronomii, której uczniowie po praktycznym kontakcie z życiem nauczyli się nie tylko spożytkowywania swych umiejętności teoretycznych, ale również poznali sposoby obchodzenia — delikatnie mówiąc — obowiązujących receptur i przepisów. A jest to — niestety — przykład nieodrobiony.

Młody człowiek już w trakcie praktyki zawodowej, a także w trakcie innych kontaktów styka się zarówno z ludźmi, od których może się wiele nau-

czyć, których postawa może być dla niego przykładem, jak też z ludźmi, których poziom świadomości odpowiada poziomowi z początku XX wieku. Jak wykazują badania socjologów dla sporej jeszcze grupy ludzi bez podstawowego wykształcenia lub z pozornym podstawowym wykształceniem 75 proc. programów telewizyjnych, tyleż samo niemuzycznych programów radiowych i 70 proc. treści zawartych w gazetach i czasopiśmie pozostaje poza możliwościami ich rozumienia. Ten społeczny balast odgrywa i będzie — niestety — jeszcze przez pewien czas odgrywał hamującą rolę. Wpływa to bowiem nie tylko na poziom ogólnej kultury społeczeństwa, przyczynia się do obniżenia poziomu treści zawartych w programach radiowych, telewizyjnych i czasopiśmie, ale też stanowi istotną zapórę w procesie modernizacji gospodarki, hamuje postęp techniczny i ujemnie odbija się na procesie przebudowy systemu oświatowego. Już choćby tylko dlatego, że część wysiłków i środków trzeba kierować na oświatę dla dorosłych, co nie jest jedynym z koniecznością dorosłych, ale z podnoszeniem ich poziomu wykształcenia.

Prawidłowe funkcjonowanie gospodarki wymaga równomiernego dopływu kadry do wszystkich jej dziedzin. Obecnie występują tutaj dość zauważalne

dysproporcje. W wyniku szybkiego zachodzących przemian społecznych i gospodarczych daje się zauważyć znikanie pewnych zawodów i specjalności oraz nadmierne zainteresowanie innymi! Przebudowa systemu oświaty w Polsce ma między innymi na celu zapobieżenie tym dysproporcjom, ma stworzyć takie możliwości, aby każdy, w zależności od swoich predyspozycji i zdolności, mógł obok uzyskania maksimum niezbędnej wiedzy ogólnej, zdobyć też określone kwalifikacje zawodowe. I to jest ze wszelkich miar słusne założenie. Ale też — jak to podkreślano na wspomnianej naradzie — przebudowa systemu oświatowego nie może być tylko procesem zamkniętym, nie może dokonywać się jedynie w murach szkolnych. Sformułowany na VII Plenum KC PZPR jednolity program wychowawczy stworzył podstawę dla jednoczesnych przemian zarówno w szkole, jak i w całym społeczeństwie. I o tym programie w przygotowaniach do przebudowy oświaty nie wolno zapominać. Dążąc do podnoszenia systemu kształcenia i wychowania na wyższy poziom, trzeba jednocześnie dążyć do przyspieszenia przeobrażeń socjalistycznych w całym społeczeństwie.

BOGDA MADEJ

Naszemu współpracownikowi  
red. JÓZEFOWI H. WISNIEWSKIEMU  
wyrazy serdecznego współczucia z powodu  
śmierci żony  
składa zespół  
„ODGŁOSÓW”

## oko na gospodarkę

### RAZEM CZY W POJEDYNKĘ?

Można to tak śmiało nazwać: jubileusz obchodzony bez fanfar, ale godnie, zapisany jest już przecież srebrnym: tak — to już 25 lat działalności RADY WZAJEMNEJ POMOCY GOSPODARCZEJ.

Powiedzmy sobie jednak szczerze: przeciętny obywatel naszego kraju ciągle jeszcze niezbyt jasno pojmuje znaczenie i rolę, jaką spełnia dziś ta wspólna organizacja ekonomiczna krajów socjalistycznych, skupiająca Bułgarię, Czechosłowację, Kubę, Mongolię, NRD, Polskę, Rumunię, Węgry, Związek Radziecki, a w pewnych dziedzinach jej funkcjonowania uczestniczą aktywnie inne jeszcze kraje — Jugosławia, Demokratyczna Republika Wietnamu i Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna.

Niewątpliwie należy zacząć od problemów generalnych, na które funkcjonowanie Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej miało decydujący wpływ. Musimy też jednak przypomnieć — bo i to należy do owych generalii — „tło”, które złożyło się na powołanie do życia RWPG. A więc:

Był rok 1947. Oweczony prezydent Stanów Zjednoczonych Harry Truman stawia słynną tezę o konieczności udzielenia pomocy przez USA państwom „zagrożonym” przez komunizm. W kilka miesięcy po złożeniu tego oświadczenia Marshall ogłasza swój plan, opatrzone nazwą „Program Odbudowy Europy”. Praktycznie jednak dostęp do strumienia dolarów przeznaczony był wyłącznie dla krajów nie rządzących przez komunistów.

rok 1948 — Francja, Wielka Brytania i kraje należące do tzw. Beneluxu składają swoje podpisy pod Paktem Brukselskim, co jest zaledwie pierwszym krokiem.

ten sam rok 1948. Stany Zjednoczone wstrzymują dostawę do Polski 100 000 ton żelaza, a zapłaconych urządzeń hutniczych, przy czym niebawem ten sam zakaz obejmuje inne towary amerykańskie — zmuszone przez Polskę. Jest rzecz charakterystyczna, że w ślad za kapitalistycznym mocarstwem — nr 1! — idą inne kraje także jak Francja, Włochy czy Wielka Brytania, ograniczając swoje stosunki gospodarcze z państwami socjalistycznymi, w tym również z Polską.

Było to więc embargo, daleko idące ograniczenie dostaw i wymiany międzynarodowej z krajami socjalistycznymi tak daleko idące, iż obejmowało nie tylko rozmaite rodzaje urządzeń, surowce, ale nawet takie produkty jak gaz. Oczywiście chodziło tutaj o to, by przez określone mechanizmy ekonomiczne uderzyć w oświeczone struktury systemu państw socjalistycznych, które powstały w wyniku II wojny światowej.

Odpowiedzią krajów socjalistycznych na tego rodzaju obstrukcyjne poczynania państw kapitalistycznych było stworzenie wspólnej organizacji — właśnie RWPG.

I tutaj zaryzykujemy może paradoksalnie wyglądające stwierdzenie, że to w istocie Zachód, państwa kapitalistyczne chcą zdławić, a przynajmniej bardzo ograniczyć ekspansję polityczną i gospodarczą zrodzoną po II wojnie światowej.

wej systemu socjalistycznego w dużej części Europy, przyczyniły się bezpośrednio do przyspieszonego procesu integracji ekonomicznej krajów socjalistycznych. Zrobili to naturalnie mimo swej woli. Z drugiej jednak strony nie wolno przeceniać oddziaływania zewnętrznych bodźców prowadzących do coraz ściślejszej integracji gospodarczej systemu socjalistycznego. Oczywiście u tej podstaw, czynnikami najważniejszymi i decydującymi była i jest nadal we wnętrzu — a logika rozwoju systemu socjalistycznego. Wspólnota celów gospodarczych społecznych jak i politycznych, sama narzucała w działaniu potrzebę połączenia sił i środków. Była to logika — powiedzmy sobie dziś otwarcie — nie przez wszystkie wedy kraje socjalistyczne uświadamiana i respektowana w całej rozciągłości.

Tyle w charakterze refleksji, bowiem naszym głównym celem jest ukazanie efektów funkcjonowania RWPG, która na przestrzeni 25 lat swojego dotychczasowego istnienia przeszła długą drogę do form wzajemnej współpracy w dziedzinie handlu międzynarodowego — co było bezpośrednią odpowiedzią na embargo i restrykcje wobec systemu socjalistycznego, stosowane przez państwa kapitalistyczne w wymiarze międzynarodowej, do stosunkowo prostych jeszcze form koordynacji i kooperacji, by wreszcie dojść do koncepcji tworzenia i realizacji wspólnych dalekosiężnych planów kompleksowego rozwoju, uwzględniających międzynarodowy podział pracy, specjalizację.

Pamiętając o klasycznych przykładach tego współdziałania, jak choćby ropociąg „Przyjaźń”, budowie Huty im. Lenina pod Krakowem, ową listę przykładów wypada uzupełnić jeszcze innymi, najnowszymi, które również są już dziś faktami z bogatej listy przejawów wzajemnej współpracy krajów RWPG, rozwijających swój potencjał ekonomiczny, a przez to samo zwiększając swoją rolę w stosunku do innego systemu — do świata kapitalistycznego, w wielu przypadkach jeszcze dziś — mimo ery odprężenia — często kontrowersyjnie działającego w stosunku do systemu socjalistycznego. Mówię np. tutaj o pewnych poczynaniach Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, nie zawsze zbieżnych z naturalnymi procesami traktowania świata jako całości w sferze ekonomicznej.

Wypada przede wszystkim stwierdzić, że lista ta ulega nieustannym zmianom. I tak np. w Bułgarii dobiega końca budowa pierwszej elektrowni atomowej o mocy 440 tys. kW, a to pchnięcie bułgarskiej energetyki na zupełnie nowe tory było możliwe w oparciu o współpracę wszystkich krajów RWPG. Na terenie Czechosłowacji zakończono budowę nitki gazociągu, który połączy Związek Radziecki z Europą zachodnią. W Mongolii, wspólnym wysiłkiem krajów zainteresowanych bogatymi złożami miedziowo-molibdenowymi powstaje wielki kombinat górniczy. Związek Radziecki podpisał z wieloma krajami RWPG porozumienia o budowie wspólnym wysiłkiem Ust-Illimskiego kombinatu celulozowo-papierniczego, którego moc produkcyjna określana jest na około 500 tys. ton. I wreszcie Polska: w oparciu o porozumienie w ramach RWPG budujemy w Zawierciu wielką nowoczesną przedalnię „Przyjaźń”, a w pobliżu kombinatu hutniczego „Katowice”, po którego uruchomieniu polska gospodarka otrzymała co roku dodatkowo blisko 5 mln ton stali.

Warto też obok tych przykładów zaprezentować kilka syntetycznych przynajmniej wskaźników, które najlepiej ukazywać tendencję występującą w krajach socjalistycznych, w których ważny udział ma działalność Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej. Do ta-

kich wskaźników niewątpliwie należy wzrost dochodu narodowego.

W Polsce w roku 1973, w porównaniu do roku 1972, kształtował się on na poziomie 110 proc., na Węgrzech 107 proc., ZSRR — 108 proc., Bułgarii — 108,7 proc. w Czechosłowacji — 107,7 proc., a w NRD — 108,8 proc. Tempo przyrostu dochodu narodowego jest więc bardzo interesujące, ale obok jako dynamiki trzeba koniecznie podkreślić fakt, iż na przestrzeni lat 1949-1973 prawie we wszystkich krajach RWPG odnotowano szybszą dynamikę wzrostu dochodu narodowego niż miało to miejsce w rozwiniętych krajach kapitalistycznych. Trzeba też dodać, iż równomiernie rozwijały się procesy dynamizacji gospodarki, we wszystkich dziedzinach mieliśmy do czynienia z kompleksowym rozwojem, opartym na stale postępującym unowocześnianiu różnych dziedzin gospodarki poszczególnych krajów należących do RWPG.

Przyniosło to poważne rezultaty, choćby w dziedzinie wydajności pracy, która także w znacznej mierze złożyła się na ogólny już przyrost produkcji przemysłowej w krajach RWPG. Dla przykładu w Czechosłowacji, dzięki zwiększeniu wydajności pracy, uzyskano zwiększenie produkcji przemysłowej w 88 proc., w NRD w 87 proc., w ZSRR w 82 proc., a wydajność pracy we wszystkich przemyślnych krajach członkowskich RWPG wzrosła w roku 1973, w porównaniu do roku poprzedniego, o 8 proc.

Dzięki wspólnemu działaniu, coraz szerszymu stosowaniu zasad międzynarodowego podziału pracy, koordynacji planowania w wielu dziedzinach udało się zwiększyć efektywność inwestycji, skrócić terminy budownictwa i uruchamiania nowych mocy produkcyjnych. Wyraźne postępy odnotowano również w dziedzinie unowocześniania i efektywizacji gospodarki rolnej. W rezultacie tych wszystkich procesów w roku 1973 jeszcze bardziej zarysowały się tendencje do wyrównywania poziomu rozwoju gospodarczego krajów należących do RWPG, a odbywało się to poprzez możliwe największe i najlepsze wykorzystanie własnych zasobów i rezerw każdego z członków Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, a także drogą sięgania po możliwości innych partnerów, poprzez dogłębianie i doskonalenie międzynarodowego socjalistycznego podziału pracy.

Nie chcielibyśmy, by Czytelnik „odbierający” te informacje o funkcjonowaniu Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej traktował ten organizm jako klasyczny niejako mechanizm działalności czysto ekonomicznej. U podstaw gospodarki socjalistycznej leży przecież ogólniejszy cel społeczny, a każde działanie ekonomiczne bezpośrednio zmierza do polepszenia warunków egzystencji społeczeństwa. To ogólne stwierdzenie zilustrujemy jednym, ale bardzo istotnym przykładem, a mianowicie kształtowaniem się plac realnych w krajach należących do RWPG.

Otóż w roku 1973 dochody realne, liczone na jednego mieszkańca, wzrosły w Bułgarii o 7,0 proc., na Węgrzech o 4,5 proc., w ZSRR o 5 proc. i w Polsce o 10 proc. Wymieniliśmy tutaj tylko wskaźniki nam dostępne, ale był to proces ogólny obejmujący swoim zasięgiem wszystkie kraje, nie wyłączając nawet tak świeżej daty członków RWPG, jak np. Kuba.

I to chyba jest też ważki argument, wskazujący na słuszność decyzji o powołaniu ekonomicznej wspólnoty krajów socjalistycznych. RWPG ma już 25 lat. Ten literowy symbol wspólnoty tłumaczy się jednoznacznie: Razem, Więcej, Pomyślniej, Gospodarniej.

KRZYSZTOF POGORZELEC

## ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMANSKI (drugi sekretarz).  
Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, EWA NURCZYŃSKA, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANSKI, MAREK WAWRZKIEWICZ.









# O CZYM TRZEBA PAMIĘTAĆ?

**Renesans kapel podwórkowych w Polsce, nieoczekiwane zainteresowanie miejskim folklorem muzycznym, do czego w niemalym stopniu przyczynił się jego entuzjasta i popularyzator, nieodżałowany Stanisław Grzesiuk, sprawiły, że samorodna twórczość środowiska robotniczego staje się nareszcie przedmiotem badań naukowych podjętych przez historyków, etnografów i socjologów.**

Lódź była inicjatorką pionierskiego konkursu folklorystycznego, który przyniósł bogate, nie znane do tej pory materiały dotyczące obyczaju, języka, pieśni ludu miejskiego, wskazujące zarazem, że ekspansja radia, telewizji i płyty gramofonowej nie wyrugowała relikwów kultury należącej już wprawdzie do przeszłości, ale wciąż jeszcze żywej. Nie jest to zresztą kultura jednolita pod względem podowodu: widąc w niej naleciałość tradycji wiejskiej, dająca się w niej także bez trudu wskazać elementy powłoniętej wprawdzie miejskiej, ale z życiem ludu, jego pracą i walką mające niewiele wspólnego, nie brak wszakże tego, co nazwać możemy pieśnią rewolucyjną naznaczoną klasową świadomością i służącą jej rozbudzeniu.

Wśród tych przekazów nie brak apokryfów i najczystszej wody stylizacji wskazujących na inteligencję pochodzenia, chociaż adresowanych do robotników fabrycznych. Sporo z nich to po prostu teksty zrodzone w kręgu kultury szlacheckiej czy mieszczańskiej, choć z uwagi na swe uniwersalne treści zaczęły pełnić nową funkcję i stały się nieoczekiwanie własnością nowej, rodzącej się dopiero klasy, która jednak, już od swego zarania zaczęła tworzyć wartości własne, nasładowane czy nawet wypierające dawne.

Na nieoczekiwane możliwości krytyki społecznej jaką niesie w sobie spożytkowanie dorobku kultury plebejskiej zwrócił był uwagę twórca epickiego teatru Bertold Brecht pisząc swoją przerwankę „Opery zabraczej” „Gaya”. W 1928 roku jego „Opera za trzy grosze” zawiądnęła berlińska ulicą, a nie zapomnianym że ówczesna stolica Niemiec była jednym z najbardziej spoletnizowanych miast świata. Od tamtej chwili twórczość ludu miejskiego inspirowała niejednego autora, bo nawet w oryginalnych balladach kryminalnych i pieśniach apaszowskich pobrzmiewa ostra nuta społeczna, co dopiero powędzie o tych tekstach, które wyrażają bezpośrednio nastroje, tęsknoty i gniew rosnącego w sile proletariatu. Nie dziwi mnie więc że H. i L. Wakarscy pisząc swój wodevil „To są momenta, co się pamięta” sięgnęli po motywy zacierpnięte z folkloru robotniczego, z fabrycznych przedmieść i proletariackich osiedli. Prapremiera tego widowiska, bo wahać się czy określenie wodevil w pełni odpowiada charakterowi przedstawienia, odbyła się 7 kwietnia br. na scenie Teatru Powszechnego w Łodzi.

Wystawienie tej sztuki właśnie w naszym mieście nie jest chyba sprawą przypadku, widowisko bowiem, w swo-

ich założeniach przynajmniej, ma wyraźnie lódzki koloryt. Wskazują na to choćby nazwy niektórych epizodów, takich chociażby jak „Widzewiaci” czy „Chojniacy” albo „Ballada o Kunitzerze”. Kto choćby trochę zna przeszłość kryminalną Łodzi bez trudu także zidentyfikuje jedną z postaci widowiska: Słepego Maksa, niekoronowanego króla przestępczego podziemia. Inne sceny, choć już tylko aluzyjnie, także każą nam osadzić akcję widowiska w Łodzi.

Spektakl rozpoczyna się przed podniesieniem kurtyny już w teatralnym foyer, gdzie rozbiła swój kram Sprzedawczyni kogutków (Alicja Sobieraj-Staszewska) obok budy Właściciela strzelnicy (Włodzimierz Saar). Nad sprawnym działaniem interesu czuwa Przedsiębiorca (Aleksander Fogiel). Nie pisalibyśmy o tym tak szczegółowo, gdyby nie moje przypuszczenie, że ta jarmarczna scenka ma nas najprawdopodobniej wprowadzić w nastrój tzw. małowój wrodzonej, charakterystycznej dla życia byczajowego w Łodzi na przełomie XIX i XX w. Najpełniejszy opis takiej majówki pozostawił nam Stefan Gorski w swojej monograficznej relacji pt. „Łódź społeczna” wydanej w r. 1904. Ten ludowy festyn zwany „fajką”, kiedy to dokonywano wyboru króla kurkowego, stanowił charakterystyczny rys życia społeczno-obyczajowego w mieście. Można więc cenić ambicję przeniesienia klimatu takiej majówki na scenę, ale przy ograniczonych środkach teatru stała się ta próba nie całkiem zrozumiałą dla widza ekspozycyjna.

Kiedy rozpoczyna się właściwa akcja sztuki spektakl dla niewtajemniczonych w dzieje robotniczego miasta weale nie staje się bardziej klarowny. Nie jestem zwolennikiem weryzmu za wszelką cenę, doceniam w teatrze znaczenie maski i konwencji, ale czy rzeczywiście należało, jak uczynił to reżyser Włodzimierz Kwaskowski, wkładać w usta stójkowych piosenki, w której powiada się o posterunku. Policjanci carscy, a przecież w takiej roli zostali obgadzeni Andrzej Jedrzejewski, Bohdan Sobiesiak, Mieczysław Szarzan i Jerzy Szpunar, mogliby śpiewać co najwyżej o cyrkule.

Nie jest to, niestety, jedyny błąd rzeczowy tekstu. O wiele niebezpieczniejszy wydał mi się skrajny ekletyzm i bezrośka w doborze materiałów, które posłużyły jako tworzywo literackie widowiska. A przecież trzeba pamiętać, o czym zresztą przestrzegają autorzy artykułu do teatralnego programu H. i L. Karwaccy że to „moda ostatnich lat zwróciła uwagę i spowodowała reaktowanie wielu zespołów podwórkowych, których repertuar — złożony najczęściej z piosenek lumpowskich i „apaszowskich” oraz folkloru przedmieść — najniebezpieczniej zaczęło utożsamiać z folklorem robotniczym”.

Wbrew temu ostrzeżeniu materiałów będących ilustracją autentycznej kultury robotniczej tekst widowiska przynosi bardzo niewiele Należy do nich na pewno „Ballada o Kunitzerze” ewtowana przez Eugeniusza Ajnenkiela w antologii pieśni robotniczej „Czerwona lądnia”. Za równoważną z nią można uznać także „Kolsanjkę” w przejmującym wykonaniu Jadvigi Andrzejewskiej, której wejście na scenę stało się prawdziwą ozdobą spektaklu. Zwrócił także na siebie uwagę Żyd (Czesław Przybyła) i choć śpiewana przez niego piosenka zdradza literackie pochodze-

nie, mówi ona przynajmniej o doli proletariatu żydowskiego.

O wiele częściej sięgają autorzy tekstu widowiska do podkultury lumpowskiej i tam szukają inspiracji do przedstawionego przez siebie wizerunku Łodzi z początku naszego wieku. I znów

czasem na scenie pojawia się Słepý Maks i w knajpie u Joska słyszymy lumpowskie piosenki popularne dopiero w dwudziestolecu międzywojennym. To samo zresztą można powiedzieć o parodii osławionego romansu Heleny Mniszkówny „Trędowatej”, której świe-



Fot. Andrzej Brustman

rażający asynchron, nieliczenie się z prawdą historyczną, pomieszenie realiów. Początek każdego aktu nawiązuje do święta „fajki”, co sugeruje nam chyba, że akcja widowiska rozgrywa się przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości. Zresztą i stójkowi nie zmieniają swoich mundurów wykonując co pewien czas pomyślowy i zabawny taniec, to może być także wskazówką, do zorientowania nas w czasie. Tym-

tny zresztą persyflaż, wpleciono w akcję, chociaż popularność tej powieści dla kucharek także związana jest z okresem II Rzeczypospolitej. Równie bezrośko postąpił kompozytor Bogdan Pawłowski. Nie chcę przez to powiedzieć, że skomponowana przez niego muzyka nie pasuje do charakteru spektaklu, ale w widowisku tego typu co „To są momenta, co się pamięta” znacznie wartościowsza byłaby aranża-

cja autentycznych melodii popularnych w środowisku robotniczym, niż szukanie własnego sposobu wypowiedzi. Na polu dokumentarny charakter spektaklu nakazywał przecież służebność wobec materiałów oryginalnych, chociaż wśród nich można by znaleźć rzeczy cenne i dotąd nie znane, jak tego dowiodł zorganizowany przez Polskie Towarzystwo Ludoznawcze w Łodzi konkurs folklorystyczny, wypadła dramaturgia spektaklu, gdyż i one rozstrzygają o interpretacji tych zjawisk społecznych, które niesie treść widowiska. Powiedzmy sobie od razu, że jest to zbiór luźno tylko ze sobą związanych oorazków, z czysto umownym podziałem na akty, bo antrakty mają tutaj charakter tylko techniczny. Wprawdzie Wakarscy usiłują te obrázky pogrupować w pewne bloki tematyczne, ale to zabieg prawie niewykonalny gdyż tym co spektakl skleja jest jego rodzajowość osiągnięta przez taniec i piosenkę, głównie zresztą o kabaretowym charakterze. Tylko raz, w akcie drugim, można powiedzieć o zarysowaniu się wątku dramatycznego, kiedy to garska robotników zostaje przeciwstawiona masie fabrykantów i ich poehlebów. To dziwne odwrócenie proporcji sprawia, że aby zwrócić uwagę widza na zagubionych w przestrzeni scenicznej robotników, reżyser musi wspomóc ich śpiew play'backiem. Najbardziej scaloną scenę stanowi akt III zatytułowany „W knajpie u Joska”, ale jest on jednocześnie artystycznie najsłabszy: wodevil zmienia się w kabaret.

A przecież nie można powiedzieć, że reżyser i inscenizator zarazem, Włodzimierz Kwaskowski, nie wnosi do tego rozlązającego się w szwach widowiska szeregu wartościowych pomysłów. Zwraca uwagę staranne opracowanie ruchu scenicznego, dbałość o rozwiązanie nawet dalekich planów, a także próba wyjścia z zakłętego pudła scenicznego i wciągnięcia do akcji widowni. Mierna nośność tekstu, a zwłaszcza braki dramaturgiczne sprawiają, że wysiłek ten idzie ostatecznie na marne. Nie można nie zauważyć także wkładu choreografa Józefa Matuszewskiego i scenografa Jakuba Erola.

W jeszcze trudniejszej sytuacji znajduje się zespół aktorski. Brak jakiegokolwiek waku dramaturgicznego nie pozwala żadnemu z aktorów na zbudowanie postaci sceniczej, na akt kreacji. A przecież nawet jako epizodysta zwraca na siebie uwagę Bogdan Wiśniewski raz jako Wodzirej Wincenty, to znów jako Piękny Władek. Przekonujący jest także Marian Wojtezak w króciukiej roli Ślaczka. Nie można także zapomnieć o Halinie Pawłowicz (Stefcia) i Barbarze Polomskiej (Lucia).

I chociaż spektakl nie łączy, dzięki dobrym warunkom głosowym całego zespołu aktorskiego, to przecież pozostanie przykłądem źle zaangażowanego wysiłku, zmarnowanej szansy. Współczesne widowisko plebejskie wciąż czeka na swego odkrywcę i idąc na „To są momenta, co się pamięta”, o tym przede wszystkim pamiętać należy.

H. L. Wakarscy: „To są momenta, co się pamięta”, wodevil (7) w trzech aktach, muzyka Bogdan Pawłowski, inscenizacja i reżyseria Włodzimierz Kwaskowski, scenografia Jakub Erol, choreografia Józef Matuszewski, orkiestra pod kierunkiem kompozytora.

Prapremiera na scenie Teatru Powszechnego w Łodzi.

## PORTRET DZIELNICZY CZERWONEJ

to rozmaite zwolnienia, diety, premie, zaszczyty, a kiedyś, „jechało się na mecz tramwajowy czy pociągami za własne pieniądze, z własnym sprzętem, bez uenerów, masażystów i działaczy, a wyniki były panie! że dał Boże zdrowie! Grał Widzew po wojnie w pierwszeńszej lidze! Grał! A teraz gra zaledwie w drugiej. To samo można powiedzieć o bokserach. Nie pomógł Jezerski, nie pomógł Kulaj. Tym niemniej każdej soboty i niedzieli widzewski stadion trzeszczy w szwach, powiewają flagi, transparenty, grzmią trąby i piszczałki, a nad zgodnym chórem dopinule swoją drużynę, to zaś walecy przecz pięknie i niedużo brakowało, aby...

— A może jeszcze wejdą? — pytam Białka, mając na myśli ekstraklasę.  
— Białek:  
— Nie, w tym roku nie wejdą.  
— Szkoda.  
— Czy ja wiem?  
— Patrząc na Białka zdumiony. Mówię:  
— Przysłałaby się chyba Widzewowi dodatkowa porcja emocji...  
— Wejść na jeden sezon i zlecieć, to przykra emocja.  
— Tak pan myśli?  
— Tak. Za wysokie to jeszcze dla naszych piłkarzy progi, ale niewykluczone, że jeśli solidnie popracu-

ją, zrobią nam w niedalekiej przyszłości piękną niespodziankę.  
— Jak piłkarze ręczni z Anilany?  
— Właśnie.

I Białek nie chce już mówić o wyczynowcach. Poza wyczytnym liczy się przecież sport masowy, uprawiany w szkołach, fabrykach i parkach, dający ludzium zdrowie i rozrywkę. Nie jest pod tym względem źle. Może nawet lepiej niż w innych dzielnicach. Widzew systematycznie się rozszerza: po starej zabudowie zostaje dużo miejsca na plac zabaw i boiska, a w osiedlach, które dopiero powstają, też myśli się o zieleni i terenach sportowych. Wiele można robić w czynie społecznym... I to nie tylko dla „sportu”. Przekonał się o tym ci z EC-4 kiedy w „partyną” niedziele, ściągano do nich na plac budowy oświadczenia ochotników z przetrwałych widzewskich instytucji, wykonując kawał naprawdę cennej roboty.

— Mają widzewiaci serce do walki, panie inżynierze?  
— A pan znowu — krzywi się Białek — z tymi wytartymi sloganami... Jedni mają, a drugich trzeba popędzać, jedni działają, a inni kłody im pod nogi rzucają.  
— Mogłby pan zobrazować to dokładniej?  
— Owszem. Niech pan zobaczy, co



Foto: W. Parys

się dzieje w pekapowskich osiedlach na Stokach i w Olechowie. Niech pan się przyjrzy tej ruinie i samowoli, na którą, jak dotąd, nikt nie znalazł lekarstwa. Kolej, to państwo w państwie: wymyka się wszelkim kontrolom, bojkotuje wszelkie sugestie i rozkazy.

— Przesadza pan chyba.  
— Akurat! Niech pan sprawdzi to w Urzędzie Dzielniczy. Dowie się pan, ile z tą naszą kochaną koleją jest kłopotu i jakich sprytnych używa wybiegów, żeby przypadkiem nie wywiał się ze swoich powinności. I to wtedy, kiedy cały Widzew także ten stary: czynszowy i drewniany, jest na etapie wielkich porządków, kiedy sprząta się ulice, remontuje domy i grabi ogródki... Nie ma silnych na kolejowe władze. Balaagan i brud panuje w podlegających im budynkach. Jak trzeba wymienić

żarówkę na klatce schodowej, to pisze się podanie, a jak, broni Boże, wyleci okno, to wprawia się nowe z przezroczystego pergaminu albo pożytkłej gazety.

— Straszne rzeczy mi pan opowiada, inżynierze.  
— Ano, taka jest prawda.  
— Ciężka jeszcze przed wami robotą...  
— Wzdycha Białek, ale tak jakoś pogodnie, optymistycznie wzdycha. I mówi po chwili:  
— Najważniejsze, że się trochę ruszyło.  
— Ładnie mi trochę.  
— Widzę — uśmiecha się Białek — że znowu chce nam pan prawie płaskie komplementy.  
— Skądże! — protestuję. — Chce tylko powiedzieć, że to, co przed laty tak pięknie i szczerze opisał widzewski poeta...

Zielone okienkie,  
Farba spokana,  
Warczą drury po sąkach,  
Za deską komórk  
Gęsi  
Zakrzycza przez sen.  
Szosa na Mieszki,  
Brzeziny,  
Wystygła,  
Pusta,  
Cegielnia,  
Staw  
Z milczącymi wodami,  
Na dnie  
Rzucony przed laty  
Kamień.

... że wszystko to z każdym miesiącem i rokiem przestaje być powoli prawdą.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Zdjęcia na str. 1, 4, 5, 7 wykonał Włodzimierz Parys





## „FRANCE PRESSE” — Paryż

Teżące się obecnie procesy sądowe przeciwko chilijskim oficerom, podoficerom, żołnierzom i osobom cywilnym w Santiago są bezprawne, amoralne i przejawem konstytucyjnej powściągliwości na konferencji prasowej w Nowym Jorku amerykański obserwator, który dopiero co powrócił z Chile. Jak oświadczył adwokat amerykański, Martin Harbut, który był obecny na pierwszych rozprawach sądu wojskowego, pod sąd i ich adwokaci opowiadali, iż wielu oskarżonych „przynależą do wojska” podczas okrutnych tortur. „Wojskowi oświadczają, że mają prawo decydować jednostronnie, niezależnie od tego, czy jest w kraju stan wojenny, czy też nie i mogą uważać za przestępstwa takie działania, które przedtem uważano za całkowicie praworzędne”. Te i wiele innych wydarzeń — podkreślił Harbut — świadczą o terrrorze i nieustannym pogwałcaniu konstytucji Chile.

## „KRASNAJA ZWIEZDA” — Moskwa

„To była prawdziwa wojna na progu naszego domu” — tak zaczyna sprawozdanie „Washington Post” z odczytania przez policję i specjalne oddziały FBI niewielkiego domu w Los Angeles, w którym ukrywała się grupa członków terrorystycznej organizacji, nazywającej siebie „Zjednoczona armia wyzwolenia”. „Seria z broni automatycznej... gwizd pocisków... postacie kryjące się za ściankami i węgłami domów... gaz łzawiący... płonące domy... dym... nawoływania policyjnych stacji radiowych: przyslijcie amunicję, gaz, koniecznie się nam zapasy!”... Ten krwawy dramat, w którym główną rolę odegrały pistolety automatyczne, wkroczył do domów milionów Amerykanów wprost z ekranów telewizji, która prowadziła bezpośrednią transmisję z „pola walki”. Wydarzenie to do dziś nie schodzi z pierwszych stron gazet. FBI wysiedliło kryjówkę członków „armii”, a w ich liczbie także „uzbrojona i bardzo niebezpieczna” Patricia Hearst. Za własniciwych przywódców „armii” uważa prasę kilka młodych Amerykanek wywodzących się z drobno-burżuazyjnej „średniej klasy”. Jedną z nich jest córka duchownego, druga — aptekarka, trzecia — w 1964 roku brała aktywny udział w kampanii wyborczej na rzecz prawicowego kandydata na stanowisko prezydenta USA. Innymi słowy, organizacja terrorystyczna składa się z sześcioroletniej — składała się, ponieważ nieomal wszyscy jej przywódcy zginęli podczas strzelaniny z pewnego rodzaju połączenia elementów zdeklarowanych i drobno-burżuazyjnych. Władze wykorzystują działalność „Armii” do wywołania w USA atmosfery psychozy i hysterii wokół „lewicowych grup”, usiłując wzbudzić w Amerykanach przekonanie, że są one „spowinowaczone” z organizacjami postępowymi.

## „EL MOUDJAHID” — Algier

Czy Spinoza i jego zwolennicy są zdolni do prowadzenia prawdziwej polityki dekolonizacyjnej? Ich atlantycki sojusznicy patrzą na koniowie portugalskie pod kątem korzyści strategicznych. Uważają je za rygiel południowego Atlantyku. A dla reżimów rasistowskich Południowej Afryki i Rodezji upadek portugalskiego systemu kolonialnego oznaczałby początek końca. Junta nie dokonała jeszcze wyboru między radykalnymi zmianami, które by zmierzały do niepodległości kolonii afrykańskich a formami neokolonializmu.

## „NEW YORK TIMES” — Nowy Jork

Amerykański urząd do spraw imigracji i naturalizacji wydał zarządzenie, zakazujące przyjmowania do pracy studentów-cudzoziemców podczas ferii letnich. Podstawą zarządzenia jest założenie biura rezerw pracy, które objasnia wysoki procent bezrobotnych wśród młodzieży amerykańskiej „wielka licząca cudzoziemców którzy wywołują się do pracy w okresie lata”. Według danych statystycznych, w Stanach Zjednoczonych kształt się 150 tysięcy zagranicznych studentów. Wielu spośród nich musi podjąć pracę podczas ferii letnich, żeby zdobyć środki do dalszej nauki.

## FRANCE PRESSE — Paryż

Narodowy Ośrodek Studentów w Syjamie podał do wiadomości, że wojskowi chcą wywołać rozruchy w wyższych zakładach naukowych i wykorzystać to jako pretekst do przewrotu. „Syjam staje się podobny do Południowej Korei, gdzie studenci odebrali władzę prezydentowi, a później stwierdzili, że po upływie 14 miesięcy przechycili ją wojskowi” — powiedział na masowym zebraniu w uniwersytecie Ramkambang jeden z przywódców studenckich. — Nie chcemy, żeby ta sama historia powtórzyła się u nas! W maju na uniwersytecie Ramkambang wybuchły rozruchy, kiedy rząd ponownie mianował na stanowisko rektora uczelni profesora, skompromitowanego powiązaniami z obalonym reżimem. Studenci złożyli na ręce premiera żądanie pismo protestacyjne, w którym żądają powołania na to stanowisko innego człowieka. Żądali oni także usunięcia gen. Sawana Senannavonga ze stanowiska ministra do spraw kancelarii premiera, ponieważ jest on jednym z tych wojskowych, którzy żądają powrotu do władzy obalonych przywódców wojskowych. Narodowy Ośrodek Stud. ów w Syjamie, będący najbardziej wpływowym ugrupowaniem politycznym w kraju, zaznaczył, że w wyższych uczelniach i na ulicach miast dopódy nie będzie spokoju, dopóki rząd nie spełni jego żądań.

Nie wiadomo, czy 80-letni Mao Tse-tung zdolny jest jeszcze do zorientowania się w zamiatanej walce o władzę w partii? Przykuty do domu, nie odbywa już podróży po swoim „imperium”, do gości wychodzi prowadzony przez pielęgniarkę, a informacje otrzymuje z drugiej ręki. Czy w tej sytuacji — pytają zagraniczni korespondenci różnych pism — może brać udział w walce „dwóch linii”?

Tymczasem za dnia w „królestwie Mao” panuje cisza i porządek. Ale wieczorem, po zamknięciu sklepów, buntownicy zaczynają być gorliwi: po Kantonie buszuje milicja ludowa, uzbrojona w długie metalowe pręty, którymi „okładają” ławki w parkach, wywołując nieprawdopodobny hałas. W ustronnych alejkach, nad brzegiem rzeki Czu-Ciang, milicja straszy spacerowiczów, miłośników gry w karty i zakochane pary: „Czas iść spać”. Tak nie służy się narodowi! Jutro nowy dzień owocnej pracy! W Pekinie „patrole moralności” zatrzymały ambasadora pewnego zachodniego kraju, powracającego z przyjęcia.

W przemysłowym mieście Wuhan, nad rzeką Czuanjiang, nie zezwolono australijskim turystom na wieczorny spacer po mieście; musieli spędzić wieczór w hotelu, gdyż mogliby zobaczyć, jak jedni robotnicy biją innych — „lewi” — „prawych”. Nocą słyszano wystrzały.

Dziesiątki tysięcy studentów, robotników i żołnierzy spędzają teraz niedzielne wieczory na wielkich masowych zebraniach, organizowanych na stadionach sportowych. Telewizja, radio i prasa pracują nad forsowną mobilizacją mas.

Radio w Huansi proklamowało „wojnę narodową przeciwko starej ideologii, starej kulturze, staremu społeczeństwu, obyczajom i tradycjom, klasom eksploatacyjnym”. Radiostacja Siani przyrzekała, że „wróg klasowa przemieni się wkrótce w kupę psiego ścierwa, pogardzanego przez ludzkosć”. Radio Huiczuoz zapowiedziało: „plomień rewolucji masowej krytyki sięgnie aż po niebiosy”.

Radiostacja w prowincji Syczuan zażądała utworzenia „wyborowego oddziału” do „rozwijania kolejnej powszechnej walki”. W Wuhan powstała nowa organizacja: „społeczność produkująca kolektyw robotników przemysłu”. Pekinśka „Zemninżipao” ogłosiła rok 1974 — według starożytnego chińskiego kalendarza, rokiem Tygrysa — symbolu alarmu — „rokiem powstania”.

Czy wydarzenia w Chinach potoczą się aż tak daleko, że uczniowie będą bili swych nauczycieli i przeprowadzali rewizje, poszukując starych ksiąg, że ludzie na kierowniczych stanowiskach będzie się usuwali z pracy i w haniebnych kółkach oprowadzać ulicami miast? W Kantonie funkcjonariusz partyjny, Wan Czou-dao, powiedział do korespondenta „Spiegla”: „Walka ta jest skierowana przeciwko ideologii wrogów klasowych i będzie trwać na sprzeciw nawet w naszych szeregach”.

Ale przeciwko komu jest ona skierowana, większość Chińczyków wciąż jeszcze nie wie. Nie ulega wątpliwości jedno: za parawanem propagandy toczy się walka o władzę, o sukcesję po Mao Tse-tungu. W Komunistycznej Partii Chin, a wszystko na to wskazuje, wre walka pomiędzy dwiema frakcjami, „dwoma kursami” — kursem na rewolucję, a kursem na odnowę. „Lewi” sądzą, że Chiny dojrzały do pełnego komunizmu, w którym każdy, dobrowolnie, w miarę swych sił uczy się i pracuje, i wszyscy otrzymują jednakową płacę. „Prawi” chcą z początku ruszyć z miejsca słabo rozwinięte Chiny, postępując się zasadą płacy wedle pracy, to jest premii dla robotników, przywilejów dla pracowników na kierowniczych stanowiskach i stopni dla uczniów — każdemu, co mu się należy.

Andre Malraux w 1965 roku usłyszał od samego Mao: „Istnieją u nas kręgi społeczne, które chcą iść dro-

nać bezwarunkowo posyłać na wieś, żeby większa biedota i niezamożni średniacy mogli ich reedukować”.

Lin Piao twierdził, że przesiedlanie miało inne podłoże: likwidację bezrobocia wśród ludzi z wyższym wykształceniem. Hunwejbiniów — pisał Lin Piao — „najpierw oszukali, później wykorzystali i w końcu zamienili w mięso armatnie”.

Środki uspokajające dla niespokojnych ludzi z lewa, przepisywał Mao po starciu. Każdego roku wszyscy absolwenci szkół średnich, którzy chcą się uczyć dalej, powiększają armię hunwejbiniów na wsi — od 1968 roku było ich ponad półtora miliona.

Z tych nielicznych informacji — pisze korespondent „Spiegla” — które przewijają się przez łamy chińskiej prasy, wynika, że nie są oni zachwyceni pracą na wsi: chłopcy niechętnie karmią młodą inteligencję, rodzice chcą, żeby dzieci powróciły do domów, a partia ma-

sekwencji swego pochodzenia”.

Komu się uda powrócić do miasta, ten musi się ukrywać u rodziców, nie mając pozwolenia na zamieszkanie i kartek żywnościowych. „Patrole moralności” wciąż wylawiają byłych hunwejbiniów żyjących z kradzieży. We wrześniu ub. roku w Kantonie, dwunastu takich uciekinierów surowo ukarano dla odstraszania innych, a kilku skazano na karę śmierci za zabójstwa i zgwałcenia.

Wielu próbuje przedostać się wpław przez rzekę Czu-ciang. W 1972 roku udało się to dwudziestu tysiącom młodych Chińczyków. „Myśleliśmy, że będziemy gospodarzami kraju” — żalił się 23-letni uciekinier Hen Lin z Pekinu. O Mao zaś powiedział: „Byliśmy więcej potrzebni jemu, niż on nam”. 24-letni uciekinier z prowincji Czecien zapowiada bunt hunwejbiniów przeciwko Mao: „Im dłużej pali się ogień, tym gorętszy staje się płomień. Zbliży się chwila, kiedy bomba z opóźniającym zapalnikiem wybuchnie z hukiem”.

Ale Mao, jak widać, nie rozstał się ze swoim marzeniem. „Rewolucja kulturalna” nie jest dla niego jednorazowym aktem, lecz pewnym „procesem permanentnym”. Rewolucje przeciwko staremu wzorcowi myśli i starym tradycjom, jak głosi nowy statut partii przyjęty w 1973 roku, „będą się odbywać w przyszłości niejednokrotnie”. A dlaczego? — to Mao Tse-tung wyjaśnił Edgarowi Snow w następujący sposób: „Kiedy człowiek je, odgryza najpierw jeden kęs, potem drugi. Ale trzeba czasu, żeby za każdym razem poczuć smak, i dopiero po tym odgryza już następny kęs”.

W całym kraju Chińczycy potępiają Konfucjusza, ponieważ chce tego Mao. Ale na razie nie wiedzą jeszcze dokładnie, dlaczego. Gdzie tu związek z rzeczywistością, przeciwko jakiej żywej tarczy jest skierowana ta kampania? Zgodnie z tradycją Chin ujawnia się to wtedy, gdy rozprawa polityczna z ofiarą została już dokonana. Może chodzi o zachęcenie do reform? Albo może naród trzeba w miarę możliwości przygotować do życia w Chinach bez genialnego wodza Mao? A może filozofa krytykują liberalni reformatorzy, podważając pod Konfucjusza samego Mao? Może...

Obserwatorzy w Hongkongu, jak informuje „Washington Post”, sądzą, że obecna kampania rozkłada „umiarkowane centrum” Czou En-laj i że jest ona skierowana przeciwko „lewym radykałom”. Jednakże większość specjalistów zagadnień chińskich wyraża przeciwny pogląd: że kampania jest atakiem „lewych” na rozpraszających się w kraju, od biskupa pierwszej rewolucji kulturalnej, pragmatyzm i „rewizjonizm”. A zatem Konfucjuszem był w tym wypadku Czou En-laj.

Taktyczne zwroty i opóźniające manewry są charakterystyczne dla wewnętrznej polityki Chin, prowadzonej w warunkach głębokiej konspiracji. Wypróbowana taktyka chińska polega na kierowaniu jakimkolwiek ruchem w ten przedziwny sposób, żeby albo go zawrócić, albo doprowadzić do absurdu i tym samym obalić. W obecnej, antykonfucjuszowskiej kampanii w ostatecznym rachunku, każdy może się okazać ofiarą i każdy zwycięzcą. Co więcej, każda frakcja może mieć swego własnego „Konfucjusza”.

JERZY CZECH



gą rewizjonizm... Są to byli obszarzni rozniani po całym kraju, nieduży bogać chłopcy — nieliczni ale wpływowi, byli kapitaliści, inteligenci, dziennikarze, pisarze, profesori, nauczyciele... To właśnie przeciwko nim była skierowana, wedle słów Mao, ta cała „wielka proletariacka rewolucja kulturalna”, która w 1966 roku przykuwała uwagę całego świata. Ale bardzo szybko ruch o reedukację mas przerodził się w walkę o władzę między hunwejbiniami, „nosicielami rewolucji kulturalnej”, a partią i wreszcie w rozprawę pomiędzy samymi hunwejbiniami. Zarzucające się zmiany w świadomości — jak powiedział Mao swemu amerykańskiemu biografowi i przyjacielowi, Edgarowi Snow — wyładowały się w „wojnie między wrogimi sobie ugrupowaniami, które z początku szły na siebie z kijami, później z karabinami i w końcu z granatnikami. Kiedy cudzoziemcy głosili, że w Chinach panuje ogólny chaos, nie kłamali. Mówili prawdę”.

W 1968 roku „wielki sternik” Mao kazał armii wprowadzić porządek, położył kres ekscesom, a hunwejbiniów wysłał na wieś.

Teraz Mao nie ma już do dyspozycji tych jedenastu milionów hunwejbiniów, na których mógł się oprzeć w 1966 roku. Aktywiści — jest ich siedem milionów — zostali skierowani do pracy fizycznej w oddalonych prowincjach Chin. „Młodych ludzi z wykształceniem — powiedział Mao —

to się nimi interesuje. Szukają innej pracy, chcą zrobić karierę urzędniczą, albo uczyć się dalej, w każdym razie — wyjechać ze wsi i nauczyć się fachu. „Zemninżipao” donosi o grupie liczącej tysiąc chłopców i dziewcząt z miast, pracujących w komunie w prowincji Lionin: „Nie czytują gazet, nie uczą się, mało interesują się polityką, zapomnieli wszystkiego, czego nauczyli się w szkole. Niektórzy nie umieją nawet posługiwać się liczydłem i obliczyć, ile wypracowali dniówek. W dzień pracują, wieczorami grają w pokera i czytają szkodliwe książki; niektórzy, zdeprawowani przez wrogą klasę, pełnią różne głupstwa”. Dziewczęta z miast, zatrudnione w pewnej brigadzie w prowincji Hunngi, „myślą tylko o tym, jak by wrócić do miasta; niektóre, bardzo młode, nawiązują związki miłosne i wcześniej wychodzą za mąż”. Poza tym, w prowincji, tak jak wszędzie, „młodzież rozpracowuje wrog klasowy”.

Wrog klasowy poluje także na młodych mężczyzn z miast. „Zemninżipao” opisuje historię pewnej (byłej) „bogatej” włościanki, która „uśmiechając się na prawo i na lewo, i rzucając słodkie słówka, usiłowała pewnego byłego hunwejbina, proletariackiego pochodzenia, smacznym dżemem, i winem, i ogłupiającymi książkami, i rozmowami. Cel: ożenić go z córką. A rzecz w tym, że „mając za męża robotnika, córka zamożnych włościan uwalnia się od kon-

## Z MYŚLĄ O POKOJU NA CAŁĄ PRZYSZŁOŚĆ

We wspólnocie socjalistycznej ukształtowała się praktyka spotkań przywódców wszystkich partii, które corocznie odbywają się na Krymie oraz wizyt przyjaźni, składanych przez delegacje partyjno-rządowe jednego kraju w drugim. Wizyty takie dają okazję do szczegółowego przeglądu stanu wzajemnych stosunków oraz omówienia dróg dalszego zacieśnienia współpracy. Takie też cele przyświecały warszawskim rozmowom Ericha Honeckera i Horsta Sieder-manna z Edwardem Gierkiem i Piotrem Jaroszewiczem. Kilku dniowa wizyta delegacji NRD w Polsce zakończyła się podpisaniem wspólnego oświadczenia w związku z 30-leciem PRL i 25-leciem NRD oraz wspólnego protokołu z rozmów obu premierów.

W oświadczeniu delegacji partyjno-rządowych, które kreśli drogę historycznego zwrotu, jaki dokonał się w stosunkach między obu narodami, czytamy m.in.: „Nasza przyjacielska współpraca mierzona czasem — to zaledwie okres jednej generacji. Mierzona przemianami i osiągnięciami — to cała nowa epoka”.

W tym lapidarnym stwierdzeniu mieści się okres historyczny, który przyniósł na mapie politycznej Euro-

py głębokie i nieodwracalne zmiany. Dziś treścią stosunków między Polską a NRD jest stałe pogłębianie więzi politycznych, ideologicznych i gospodarczych, wzajemne pomaganie sobie w rozwiązywaniu podstawowych problemów budownictwa socjalistycznego oraz umacnianie pokoju i bezpieczeństwa w Europie.

Dłatego oświadczenie kończy się następującym apelem: „W roku jubileuszowy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i Niemieckiej Republiki Demokratycznej zwracamy się do klasy robotniczej, chłopów, inteligencji, do młodzieży — nowej generacji budowniczych socjalizmu, aby wypełniały coraz bogatszą treścią naszą współpracę, umacniały przyjaźń między naszymi państwami i socjalistycznymi narodami, aktywnie, na miarę wielkich obecných i przyszłych zadań, uczestniczyły w utrwalaniu pozycji socjalistycznej wspólnoty, socjalizmu i pokoju w Europie i w świecie”.

Nasze kraje w polityce międzynarodowej kierują się niezmiennie zasadami pokojowego współistnienia. W oparciu o nie chcemy budować trwałą strukturę ogólnoeuropejskiego bez-

pieczeństwa, aby, jak mówił Edward Gierek, „zapewnić przedłużenie już blisko 30-letniego okresu pokoju Europy na całą przyszłość”. I właśnie również tym celem służyła wizyta przyjaźni partyjno-rządowej delegacji NRD w Polsce.

Zainteresowani, aby przykład naszego kontynentu promieniował na inne, z uwagą śledzimy wszystko, co dzieje się w świecie. Za kolejny krok w kierunku przywrócenia pokoju na Bliskim Wschodzie uznaliśmy porozumienie syryjsko-izraelskie o rozdzieleniu wojsk. Więcej — wyraziliśmy zgodę, aby polskie jednostki wojskowe weszły w skład nowo utworzonej siły obserwacyjnych ONZ, które będą nadzorować linię rozejmu syryjsko-izraelskiego. Tak więc jesteśmy obecni na obu frontach, pełniąc pokojową misję. Raz jeszcze trzeba podkreślić, że udział naszych jednostek w siłach ONZ jest wyrazem uznania dla aktywności Polski w przywracaniu i utrwalaniu światowego pokoju.

Skoro już piszemy o Bliskim Wschodzie odnotujmy pobyt K. Waldheima — sekretarza generalnego ONZ w kilku krajach tego rejonu świata. Obserwatorzy przypuszczają, że celem jego jest zorientowanie się w zmianach, jakie zaszły w stanowiskach poszczególnych krajów na temat konfliktu izraelsko-arabskiego. Nadal najaktualniejszym problemem jest problem Palestyńczyków. Nie wyklucza się, że Waldheim zaproponuje poprawkę do rezolucji Rady Bezpieczeństwa, w rezultacie której skorygowany zostanie fragment, mówiący o prawach uchodźców palestyńskich

na rzecz praw narodu palestyńskiego. Z wizytą do pięciu krajów blisko-wschodnich wybiera się także prezydent Nixon. Wzbudza to duże zainteresowanie komentatorów, ponieważ nigdy jeszcze amerykański prezydent nie odbył takiej podróży.

Wiele już razy na tym miejscu pisaliśmy o kłopotach EWG — starych i nowych. Do tych ostatnich należy przede wszystkim W. Brytania, aby zrewidować warunki jej uczestnictwa w tej wspólnotce. W tym m.in. celu zebrał się w Luksemburgu ministerowie spraw zagranicznych państw — członków EWG. Brytyjski minister uzasadnił wniosek krótko: jego kraj ma za kilka lat wpłacać do wspólnej kasy 24% całości wpływów EWG, podczas gdy wypracowywać będzie 14% dochodu „dziewiątki”. Sprawy nie przesądzone, skierowano do komisji, która ma wniosek brytyjski szczegółowo zanalizować. Jeśli piszemy o tym spotkaniu, które rangą ustępuje innym wydarzeniom międzynarodowym tygodnia, czynimy to z dwóch powodów: po pierwsze, aby zasygnalizować, że nowy rząd brytyjski zaczyna korygować błąd swego poprzednika, po drugie dlatego, że na tle wniosku Anglii dość krytycznie wypowiedział się nowy francuski minister, co zdaniem obserwatorów zapowiada dla stosunków obu krajów może chłodniejszą atmosferę. A to może nie pozostać bez wpływu na sytuację w EWG oraz jej kontrowersje ze Stanami Zjednoczonymi.

W. ŚLAWSKI

## ZDARZENIA ZWIERZENIA?

Kiedyś przed laty modne były tzw. „sylwy” czyli „lasy rzeczy” zastępujących na powtorzenie, na pamięć. Spisywano te „sylwy” po klasztorach i dworach do grubych foliów, bez chronologicznego ładu i składu, zależnie od wydarzeń, zainteresowań i erudycji notującego. Potem przyszła epoka wiedzy uporządkowanej, encyklopedycznej i „sylwy” poszły w kąt.

A przecież orok takiego „mizmaszu” nie zastąpi żaden leksykon.

Nie więc dziwnego, że autentyczną rewelacją wydawniczą stały się „Sensacje z dawnych lat” Romana Kalety, wydane przez wrocławskie „Ossolineum”. Jest to bowiem książka wywodząca się bez wątpienia z „poetyki” starych „sylwów”. Bodaj ostatnią książką tego rodzaju było trzytomowe wydanie tuwimowskiego „Grochu z kapustą” sprzed lat bez mała dwudziestu. Bliższe 500-stronicowe dzieło Kalety zrodzone jest z tej samej pasji szperackiej, z tych samych zauroczeń starościami kultury i literatury z upodobaniem żartu, ciekawości historycznej, anegdota.

Niedawno opublikowaliśmy

# LAS RZECZY

apokryf „Mrówek” przypisywany Adamowi Mickiewiczowi. Ten zabawny pastisz krążył dziesiątki lat w maszynopisowych odbitkach, budząc emocje zakazanego owocu. Roman Kaleta odważył się opublikować „Mrówki” opatrzone je erudycyjnym komentarzem i okazało się, że ów zakazany owoc bawi dziś tylko, nie budząc żadnych emocji sensacyjno-erotycznych. Takich właśnie przypomnień, obrośniętych legendą, jest w książce Kalety więcej.

Oto słynny 13 numer „Przewodnika Bibliograficznego” z roku 1926. Mało kto czytał tę zabawną parodię zawierającą ponad 200 tytułów nieistniejących książek... Istniejących autorów. A przecież o trzynastym numerze „Przewodnika” krąży legenda, wspominają o nim pamiętnikarze, notują go katalogi antykwaryczne... I oto Roman Kaleta publikuje ów legendarny tekst, ujawniający zresztą autorów tej zabawy — oraz wyjaśniając podteksty niektórych, dziś już nieczytelnych, żartów.

Są zresztą w uroczym „sylwie” Kalety i prawdziwe od-

krycia literackie. Jest na przykład fragment — autentyczny — tym razem — wiersza Mickiewicza, co stwierdził pono sam Antoni Edward Odyniec, przyjaciel Wieszczki z czasów filareckich i współtowarzysz podróży Mickiewicza do Niemiec, Włoch i Szwajcarii. Odyniec twierdzi, że mistrz Adam dopisał do znanego wiersza „Moja pieszczota” trzecią — niecenzuralną — zwrotkę. Kaleta przytacza oczywiście tę zwrotkę, a my nie mamy powodu nie wierzyć Odyniowi.

Książki Romana Kalety nie da się opisać czy zrecenzować. Jakże bowiem opisać las rzeczy — a także inne... Rewelacyjność tej książki zwyżeli w mig czytelnicy, zanim jeszcze zachwycił się nią Jarosław Iwaszkiewicz w „Życiu Warszawy”, zanim reklamował ją „Przekroju”.

„Sensacje dawnych lat” nie są książką, którą można przeczytać od deski do deski i odłożyć na półkę. Zgodnie z konwencją „sylwów” można ją czytać na wrywki i wciąż do niej wracać. Są tam sprawy

przemieszane pod względem treści i przynależności czasowej, zabawna notka ze starego kalendarza sąsiaduje z rozprawką naukową, pikantna humoreska — ze zwyczajną plotką. Jak na przykład z tym „podaniem” pewnego oficera napoleońskiego, który twierdził, że biskup Kraskiewicz „upijać się lubił, ale do poduszki i upijał się proszą wodką z karczmy lub szynku, którą mu co dzień po kwarcie donosił paź, jego faworyt”.

Dlaczego nazywam to plotką? Po prostu wykonałem obliczenie. Otóż kwarta oznaczała zwykle 1/4 garnca, garniec natomiast zawierał około... czterech dziesiętnych litrów. Trudno uwierzyć, żeby ktoś strzelał sobie do poduszki litr gorzałki, mocniejszej niż obecna i jeszcze w wolnych chwilach napisał dziesiątki tomów. Ale przecież także w tych bajaniach jest cały urok i piękno znakomitego „sylwu” Romana Kalety.

WIDOK

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY

## ARGUMENT NIE DO ODRZUCENIA



LEWYM OKIEM

## KOLEJKA DO CISNY

W jednym z ostatnich numerów „Przekroju” opublikowano list Polaka, mieszkającego od wielu lat w Anglii, występujący w obronie kolejki wąskotorowej w Bieszczadach, z Lupkowa do Cisny. Podobna kolejka — pisze ów korespondent istniała w Walii, potem przestano ją eksploatować, potem powstało specjalne Towarzystwo Przyjaciół Kolejki, które po dwudziestu latach (!) skrzętnych a honorowych zabiegów uruchomiło z powrotem kolejkę — tym razem jako ciekawostkę turystyczną, zabytek, sentymentalny relikw z początków stulecia. Polak z Anglii namawia do powołania w Starym Kraju Towarzystwa Przyjaciół Kolejki Bieszczadzkiej, do okazania pietyzmu staruszek, która w jego wspomnieniach stanowił rekwizyt szczęśliwej młodości (jako że nie ma młodości nieszczęśliwych).

List jest nader sympatyczny, a jednocześnie jakże symptomatyczny dla naszych czasów! Żyjemy w świecie rozkopanym do samego dna. Nic nie istnieje, wszystko staje się dopiero, wszystko jest w stadium wiecznego stawania się, wiecznych zmian. „Eksploduje demograficznie”, niesamowity galop zdarzeń, burzliwy postęp w komunikacji, kumulacja ogromnych rzesz pracowników w rosnących z dnia na dzień gigantach przemysłowych, powodują konieczność ciągłej przebudowy naszych miast, dróg, domów, mostów, osiedli — a więc ciągłej przebudowy świata, w którym żyjemy. Jeszcze nie okrzepła nowe dzielnice stolic, a już się coś wybura, przebijają, kopie. Jeszcze nie zstąpiły się estakady, wznoszone za naszej niedawnej pamięci, a już rze się tunele metra. Wciąż, bez przerwy, skaczymy po rozkopach, hucają kafary, warczą wiertarki, błyskają nocami magnezki na wielkich budowach. Gdzie są oazy trwania, spokoju, ciszy?

Zaczynamy ze wzruszeniem patrzeć na każdy szczegół, zapamiętamy sprzed lat. Wszystko staje się godne oświecenia i ocelenia, każda rzecz zaczyna nabierać walorów zabytku; a może tak tylko mówimy, może chcemy nadać rzeczom ów walor i tym sposobem przekonać nie wiem kogo, że od tej rzeczy wala koparkom i pneumatycznym młotom?

Zachowajcie coś z naszego świata, nie zostawiajcie nas w próżni jak wydmuchniętą mydlaną bańkę! — wołamy przerażeni. — Nie usuwajcie nam spod nóg ziemi, którą pamiętamy, nieba znad głowy, pod którym bywalimy szczęśliwi, drzew, ogrodów, bram i ulic, stanowiących teatr naszego krótkiego na tym świecie działania...

Kolejka z Lupkowa do Cisny jechałem jako osiemnastoletni junak budować nową szosę w Starych Zubraczach. Było bardzo gorąco, siedziałem się płasko na platformie z nogami wyczeszonymi w przepaść, ponad czubkami świerków. Huculi wychodzili na stacyjkę z serami i z masłem, owiniętym w liście chrzanu. Nosili czerwone portki i własnoręcznie plecione lapcie. Świat był pełen kolorów, słońca, żywicy, ptaków, byliśmy świeżo po maturze, o wojnie mówiło się jak o historii starożytnej. Oczywiście o pierwszej wojnie, do drugiej dor „ro gromadono siły, o czym junakom nikt nie mówił. Junacy nosili łopaty, nie karabiny, wieczorami smarowali sobie maślaną spalone na raka plecy.

W „Życiu Warszawy” od wielu lat ukazują się felietoniki o ginących z dnia na dzień domach, placach, fragmentach ocalałych z wojennej pożogi: warszawskie pożegnania. Każdą rudę żęga się z żalem i westchnieniem: ubywa jeszcze jeden okruch znajomego świata. Tak musi być, nie ma się co roztkliwiać. Huculi jadali mięso raz na rok, w rudarach marły gruźlicze dzieci. Wiemy to przecież dobrze, cieszy nas rozwój, wzrost, postęp. Tempo tego wzrostu będzie coraz szybsze, nasze wnuki — a może już nasze dzieci — będą starzeć się w świecie zupełnie innym od tego, jaki zastali. Nic w otoczeniu nie przypomni im ich własnej młodości. Pewnie im to nie będzie potrzebne, pewnie będą zupełnie igni od nas, inaczej psychicznie „zaprogramowani”. Dawniej — aż do naszego pokolenia włącznie — świat trwał, a ludzie mijali. Czulo się kontynuacją pokoleń, ich mierzliwy trud w dorucaniu wciąż nowych kamyków do wielkiej, ponadczasowej Cywilizacji, Kultury, Historii. Teraz trzeba odrzucać wszystko, wznosić wciąż od nowa, parę razy w ciągu jednego życia.

Pewnie jesteście śmieszni z tą swoją tęsknotą do stałych punktów odniesienia, z tym czeptaniem się do Rzeczy, z tą ułomnością wybrańni, skazującą na zależność od „rekwizytów” bytu. Ale tacy właśnie jesteśmy. Cześć, bieszczadzka kolejko! I tak nie pojechałbym już tamtędy, bo po co?

M. R.

CWIEK

# Życie akademickie

Każde miasto szczyci się swoimi wyższymi uczelniami i trudno temu dziwić się, skoro dożyliśmy czasów, kiedy wyższe uczelnie powstają nie tylko w dużych ośrodkach miejskich, ale niemal w każdym mieście wojewódzkim, a nawet niektóre miasta powiatowe potrzebują się filii szkół wyższych. Potrzeba nam bowiem coraz więcej ludzi o wyższym wykształceniu, a do niego dysponujemy otwartym systemem szkolnictwa, w którym każdy absolwent szkoły podstawowej może dalej pogłębiać wiedzę aż do chwili uzyskania dyplomu szkoły wyższej i to niezależnie od tego czy pracuje, czy tylko się uczy, nie więc dziwnego, że i w małych miastach tworzą się możliwości pogłębiania wiedzy dla ludzi już pracujących. Bywa i tak, że ludzie pracujący w małych miasteczkach dojeżdżają do większych, aby nie poprzestać tylko na magisterium, ale i uzyskać stopień doktora.

Nasz system oświaty — doskonałony nieustannie na różnych jego odcinkach — nie działa jednak tak sprawnie i bezkonfliktowo jakbyśmy tego sobie życzyli. Opowiadał mi ostatnio pewien dyrektor o trudnej rozmowie z pracownikiem. Młody człowiek, który nie tak dawno uzyskał stopień magistra inżyniera technicznej uczelni i podjął pracę w niewielkiej fabryczce w pobliżu dużego miasta, zaprzagnął kształcić się dalej. Zwrócił się do dyrektora z prośbą o skierowanie go na studia doktorskie. Swoją prośbę postawił dyrektora w niezwykle kłopotliwej sytuacji.

Fabryka — tłumaczył mi to później dyrektor — ma wprawdzie szanse rozbudowy, ale na to przyjdzie trochę poczekać. Jednak nawet wtedy, kiedy zakończymy proces inwestycyjny i będziemy dysponowali większą i lepiej wyposażoną fabryką, nie będzie nam potrzebny doktor nauk technicznych. Nasza produkcja jest prosta, nie przewidujemy ośrodku badawczego, nie mamy takich problemów technicznych, do rozwiązywania których niezbędna byłaby wiedza i umiejętności doktora nauk technicznych. Z punktu widzenia fabryki kierowanie kogośkolwiek na studia doktorskie jest zwykłą stratą, gdyż studium będzie brał urlopy, trzeba go zwalniać na seminarium i tak dalej. Z góry można założyć, że po obronie pracy doktorskiej pójdzie gdzie indziej, gdzie jego wiedza i umiejętności będą bardziej przydatne. Jakż więc mamy interes, aby kierować go na studia doktorskie.

— Ale...

— Właśnie, ale. Z drugiej strony bowiem jakie mamy znów prawo, aby zamykać człowiekowi drogę do dalszego kształcenia, aby ograniczyć możliwość rozwoju zdolności i wiedzy. Patrząc na to z punktu widzenia społecznego, a nie wąskiego interesu zakładu, należałoby poprzeć prośbę, ułatwić kierowanie na studia doktorskie, bo człowiek jest zdolny i powinien dalej się uczyć.

— I co pan zrobił?

— Na szczęście kandydatowi na studia doktorskie brakowało stażu pracy w przemyśle i to cały problem odsunęło na czas późniejszy. Ale ten problem może wrócić do mnie w przyszłym roku.

W punkcie styku praktyki z systemem szkolnictwa w niektórych jego miejscach występują nie tylko takie konflikty. I znając je trudno, podpowiadać jakiegokolwiek rozwiązanie, ale warto je sygnalizować, warto bowiem pomagać w ciągłym procesie dokształcania naszego systemu oświaty.

Miałem niedawno przyjemność rozmawiania z młodą nauczycielką, która po kilku latach pracy, postanowiła uczyć się dalej i podjęła studia na wyższej uczelni. Są to oczywiście studia zaoczne, studia przeznaczone dla ludzi, mających już pewną praktykę, mających właśnie w toku swojej pracy zawodowej stwierdzić, że byłoby dla nich dobrze, gdyby ich wiedza teoretyczna i ogólna była większa, bo pozwoli im to lepiej i skuteczniej pracować: I dlatego zdecydowali się na trud dodatkowy, na trud kilku lat studiów obok swojej normalnej pracy zawodowej.

— I spotkało nas rozczarowanie — opowiadała mi ta nauczycielka. — Traktuje się nas w sposób identyczny jak studentów ze studiów stacjonarnych, jak ludzi, którzy zupełnie nie wiedzą, których trzeba dopiero przygotować do pracy w zawodzie. Wykłady i zajęcia są niekiedy na poziomie niska, niekiedy na poziomie. Niektórzy wychodzą z założenia, że my i tak musimy wszystkiego nauczyć się sami, więc oni tylko spotykają się nam z formalnego obowiązku. Podczas gdy my oczekujemy od nich pomocy, ułatwienia nam naszej sytuacji, metodycznego pokierowania naszą samodzielną pracą. I tak musimy się wszystkiego nauczyć, ale niech wykładowe nam w tym pomoże w maksymalnie możliwym sposób. A bywa przecież i tak, że niektórzy przechodzą na wykład, aby sobie pogwarzyć bez troski i odpocząć po trudach pracy na studiach dziennych.

Profesor Jan Szczepański w szkicu „Szkoła wyższa jako system” (patrz „Refleksje nad oświatą”) pisze między innymi:

„Efektywność pedagogiczna szkoły polega na efektach osiągniętych przez jej absolwentów w pracach poza szkołą, w instytucjach, które zatrudniają absolwentów, ale szkoła nie ma wpływu na stosowane tam wobec jej absolwentów kryteria oceny cech i zachowań. Kryteria te są odmienne od stosowanych w szkole”.

Te kryteria, różne niż w praktyce pozaszkolnej, powodują, że w identyczny sposób traktuje się młodzieńca legitymującego się tylko świadectwem ukończenia szkoły średniej i człowieka z

kilku lub kilkunastoletnim stażem pracy zawodowej. Ale nie jest to jedyna rozbieżność, jaka występuje w systemie kształcenia na wyższym szczeblu.

Celem kształcenia na wyższej uczelni jest przygotowanie specjalisty danej dziedziny wiedzy czy praktyki. Większość absolwentów wyższej uczelni powraca w jej mury z okazji zjazdu jubileuszowego czy spotkania absolwentów danego wydziału. Być może wprowadzamy obecnie coraz szerzej system kształcenia podyplomowego, czyli system renowacji wiedzy, zmienić w przyszłości ten stan w takim stopniu, że większość, albo i wszyscy będą powracali w mury uczelni i nie tylko w celach jubileuszowo-towarzystkowych. Ale jak na razie sytuacja jest inna. Zatem i uczelnia bierze odpowiedzialność za przygotowanie do pracy zawodowej, której to odpowiedzialności ze względu na różnice kryteriów oceny absolwenta i pracownika nie może ponieść. Chcąc jednak dać swojemu absolwentowi poczucie pełnej wartości fachowca zaprzęga go do pisania pracy magisterskiej. Czesz być magistrzem — pokaż co umiesz, napisz pracę magisterską. Ba! — zdaje się wykrzykiwać przyszyły absolwent — ale na jaki temat?

Praca magisterska ma być sprawdzianem u studenta stopnia samodzielności w myśleniu i badaniu, ma być próbą samodzielnego rozwiązania konkretnego problemu, choćby był on niewielkiej rangi. Ale ze względu na to, że student do złożenia egzaminu dyplomowego odchodzi z uczelni, powinna to być praca, która przynosi mu korzyść, uczyć go pewnych metod postępowania i także, która mogłaby przynieść mu w codziennej praktyce naszego życia. Przeprowadzone swego czasu badania przydatności prac magisterskich opracowywanych w niektórych wydziałach Uniwersytetu Łódzkiego i Politechniki Łódzkiej wykazały, że ich związek z praktyką wyrażał się zaledwie 70 procentami. Ale też możliwość zastosowania wyników tych prac w Politechnice Łódzkiej wyniosła 12 procent, a w Uniwersytecie Łódzkim — 5 proc. Konkretność i praktyczność prac magisterskich zależy w ogromnej mierze od kierunku studiów.

W ubiegłym roku niektórzy studenci Uniwersytetu Łódzkiego otrzymali nagrody Rady Naukowej Urzędu Miasta Łodzi za swoje prace magisterskie zgłoszone na konkurs, ogłaszany przez Radę Naukową. Taki konkurs jest niewątpliwą zachętą do podejmowania tych tematów, którzy mają dla miasta praktyczne znaczenie i sądzę, że mogą w nim brać udział nie tylko studenci wydziałów ekonomicznych,

nie tylko studenci zajmujący się geografią czy socjologią. Widziałbym tu również miejsce dla historyków, filologów, pedagogów. Podejrzewam jedynie, że byłoby dobrze, aby o takim konkursie, jako czynniku dodatkowej mobilizacji, wiedzieli promotorzy prac magisterskich i formułując tematy, nie tyle kierowali się abstrakcyjnymi swoimi zainteresowaniami, co ogólniejszymi potrzebami. Bywa bowiem i tak, że niektórzy pracownicy nauki, formułując tematy do prac magisterskich trzeźwo dla swoich badań i naukowych zainteresowań. A tego typu praktyka — wielokrotnie już stosowana — możliwa jest na każdym niemal kierunku studiów.

Dla absolwenta, który po ukończeniu pracy magisterskiej ma pełną świadomość, że jego trud okazał się nikomu niepotrzebny, a on sam też z tego niewiele skorzysta, pozostaje tylko rozczarowanie i poczucie straconego czasu. Rozumie on, że trzeba było coś takiego zrobić, aby ukończyć studia, ale w procesie jego przygotowywania, do życia, jest to rozdział niewiele znaczący. W dążeniu do praktyczności prac magisterskich nie pomagają też stypendia fundowane przez przemysł. Z przeprowadzonych swego czasu badań wynika, że na 2077 stypendiów, którymi zainteresowali się badający, tylko w 73 przypadkach fundujący wpłynęli na takie określenie tematu pracy, aby okazała się ona pożyteczna dla fundującego wiazala stypendystę z zakładem pracy przyszłej pracy. Inaczej to wygląda natomiast na studiach dla pracujących, gdzie ludzie rozumieją, że pisanie pracy, która okaże się nikomu niepotrzebna, jest zwykłą kradzieżą czasu i sił człowieka, który na studia swoje poświęca czas wykreślony z jego czasu wolnego. Dzięki tej świadomości w Politechnice Łódzkiej na 622 magistrantów 95 ich procent wybrało takie tematy, które mają bezpośredni związek z ich pracą i które będą im pomocne w dalszej praktycznej działalności.

Poczucie dumy z faktu posiadania wyższej uczelni czy filii wyższej uczelni jest zjawiskiem niewątpliwie pozytywnym, ale też niewystarczającym. Trzeba się nie tylko cieszyć z tego, że posiadamy wyższe uczelnie, ale też wiązać je coraz ściślej z miastem i jego przemysłem, z regionem, jego problemami, stwarzając kanały wzajemnego przepływu informacji i coraz ściślej formy wzajemnych powiązań. To, co zrobiliśmy w Łodzi i województwie w tej dziedzinie to już wiele, ale i mało jednocześnie.



# MAGAZYN

## WSZYSTKO O RYBACH

W związku ze zbliżającym się sezonem urlopowym, TV nada pożyteczny i kształcący program o rybach. Po raz pierwszy zostanie ukazana na egzemplarzu żywej ryby jej budowa. Prowadzący program zapozna miłych telewizorów z ogonem, talią, głową z tzw. „galami” (po rybacku — oczy) oraz wyśmiejże brak nóg u tego sympatycznego stworzonka. Potem nastąpi najciekawsza część programu. Prowadzący naciśnie rybę palcem i zada jej pytanie, udowadniając wobec braku odpowiedzi, że ryba głosu nie ma. Gdyby jednak ryba odpowiedziała na pytanie, wówczas prowadzący dowcipnie wykpi jej odpowiedź.

## CIESZY I BOLI

Coraz częściej na podwórkach naszych domów i osiedli daje się zanotować charakterystyczne, ale i radujące zjawisko. To młodzież zbiera się w grupki i spokojnie śpiewa sobie pozytywne, historyczne piosenki. W wypadku tym stwierdzono bezspornie wpływy filmu „Zaczarowane podwórko”. Boli jednak fakt, iż ani jeden chłopiec czy dziewczynka, po skończonej projekcji filmu nie powiedzieli nawet „dziękuję” jego twórcom.

## BEZKRWAWY LOWY

Donoszą nam, że w Puszczy Piskiej pojawił się ostatnio dziwny stwór, zwany przez okoliczną ludność „przeciętnym telewizorem”. Niestychanie czujny i podejrzliwy, piercha unikając zbliżenia. Do tej pory wiadomo tylko, że z daleka przypomina właścicieli samochodów „Syrena”.

Ni poleceń władz TV służba leśna kończy właśnie rozstawianie licznych telewizorów w borze. Z chwilą ich



podłączenia do sieci, być może okaże się wreszcie, co lubi i za czym nie przepada ów tajemniczy stwór.

## PROTEST W CIEPŁYM TONIE

W Osocznej otworzono pierwsze w kraju kino dla krwiodawców. Wnętrze kina utrzymane jest w ciepłych, łagodnych barwach. Nie gąszenie w nim też nigdy światła, by widzowie nie pomylili swojej grupy krwi. Kino dla krwiodawców jest pomysłem „o protest przeciwko licznym na Zachodzie, ekskluzywnym kinom dla krwiodawców”.

## FALSZYWA SKROMNOŚĆ

Prywatny hodowca z Pułtuska wyhodował we własnej szklarni sympatyczny i przywiązany gatunek pieczarek. Mądre grzyby witają wejście swego hodowcy ukłonem kapelusza. Niestety, sfilmowanie tego pięknego gestu przez Kronikę Filmową nie udało się, gdyż skromne jak się okazało pieczarki, wstydziły się ekipy filmowej. W związku z powyższym, poprzestano

tylko na sfilmowaniu prywatnego hodowcy, jak kłania się pieczarkom swoim kapeluszem.

## DUMA W RZYMIE

Jeden z naszych młodych reżyserów będąc w Rzymie rozmawiał z Fellinim. Fellini słuchał ciekawie i tylko przytakiwał, na zakończenie zaś rzekł: — „Proszę serdecznie pozdrawić ode mnie wszystkich pańskich rodaków!” — „Nie podejmuję się tego uczynić — z dumą odparł młody reżyser — gdyż moich rodaków jest przeszło trzydzieści milionów! „... Fellini tak się zawstydził, że aż poczerwieniał i już nikogo teraz niemądrze nie pozdrawia.

## NOWE HORYZONTY WIEDZY

Naukowcy z Instytutu Żywności i Zapobiegania po długich i mozolnych badaniach orzekli, iż opuszczanie sali kinowej jeszcze przed zakończeniem seansu może mieć związek z ilością piwa, wypitego przed udaniem się do kina.

## GNIEW SIĘ NIE STARZEJE!

Włościanie z gminy Winnymocz ukończyli wreszcie list otwarty do Amerykanów. Prace nad tym dokumentem rozpoczęto w latach trzydziestych naszego wieku, jednak II Wojna Światowa oraz brak jedności w kwestii rozmieszczenia przecinków nieco przedłużyły prace. Treść listu postuluje w stanowczej formie, by Amerykanie zaniechali filmów z Myszką Miki, bo myszy to są szkodniki.

# Powiększenia

## NARESZCIE DOBRY SERIAL

Ostatnio dawał się odczuwać brak dobrego serialu telewizyjnego. Po tych wszystkich niebywałych nudnych opowiadaniach o człowieku z Nowady, o szeryfie Maat, wreszcie telewizja sięgnęła nieco bliżej...

## POCHWAŁA IGNORANCJI

W „Literaturze” na temat audycji „Sam na sam” pisze Tomasz Zaleski: „Pytania, na jakie musiał odpowiadać biedny, znużony Krzysztof Zanussi 26 maja nie były przecież na pewno jedynymi, jakie kierują do niego widzowie. Nie wierzę nawet, by wybrana w programie pula pytań była reprezentatywna. Nie jesteśmy wszak społeczeństwem idiotów...”

## BOEBELS I TRUPIZM

W poprzednich „Odgłosach” czytelnicy ze zdumieniem przeczytali w felietonie Włodka o „trupizmie” Grochowiaka. Otoż zareczamy, że Grochowiak był turpistą, a co to słowo znaczy, nasza korektorka już sprawdziła na stronie 784 Słownika Wyrazów Obych. („turpizm — swoisty kult brzydoty w literaturze współczesnej”).

## NIE MA?

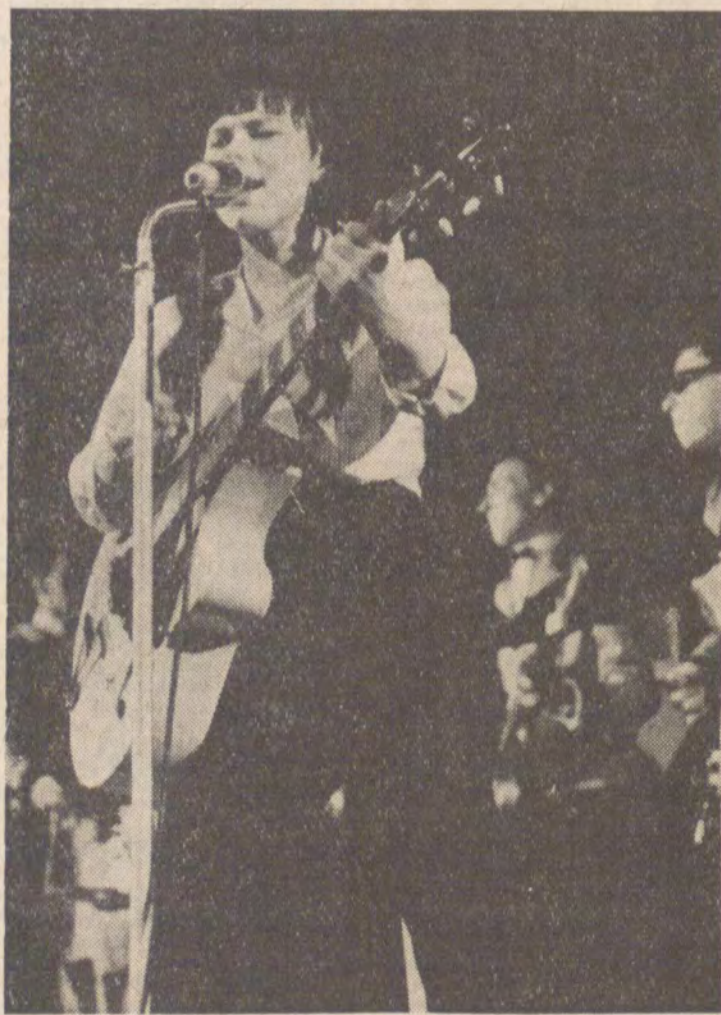
„Nie ma mocnych na Pawlaka” tytułuje swój artykuł w „Głosie Robotniczym” Małgorzata Karbowiak. A co na red. Henryk Pawlak z „GR”-

# KARYKATURY STEFANA MILLERA



## WSPOMNIENIA KARIN STANEK (2)

# GRAŁAM W MARZENIACH NA GITARZE



Najmieszniejszego mój występ, to był chyba w ogródkach działkowych na zabawie dla rencistów. Zaproszono mnie wtedy, abym zagrała do tańca w zespole. Oczywiście chętnie przyjąłem zaproszenie, miałam bowiem otrzymać za to drobne wynagrodzenie. Jakież było moje zdumienie, kiedy przedstawiono mi pozostałych członków zespołu i ujrzałam czterech łysawych panów w okularach, z których najmłodszy miał może 65 lat. Ale właściwie dlaczego miałoby mi to przeszkadzać?

Krótko omówiliśmy repertuar i zaczęliśmy grać. Tylko nasi widzowie nie mogli rozpocząć tańców, pokładali się ze śmiechu. Widząc musiałam komiecznie wyglądać z dwoma warkoczami, w otoczeniu moich „kolegów”. W sumie zabawa ponoć udała się znakomicie, wszyscy bawili się do późnego wieczora i nawet do dziś niektórzy wspomniają z uśmiechem tamten bal.

W 1961 roku odbywał się ogólnopolski konkurs na polską piosenkę, organizowany przez Polskie Radio w Katowicach. Zabrałam więc gitarę i sympatię (który miał mi dodać otuchy) no i pojechałam do Katowic. Kiedy zgłosiłam się do komisji konkursowej, popatrzyli na mnie, na ukwieconą gitarę i pytają: „Co cheesz, mała?” No, no — myślę sobie — jaka mała? Ale grzeczenie im tłumaczę, czerwona jak buraczek, że chciałam zgłosić się do konkursu. A oni mi na to, że do konkursu można stanąć, mając ukończone 18 lat. Więc odważnie mówię, że niedługo będę miała. Wybuchnęli śmiechem: „Ty? Nie opowiadaj, wyglądasz najwyżej na 12”. Ale wreszcie chyba im się zrobiło mnie żal, bo usłyszałam: „No, właściwie szukać tu nie masz co, ale skoro już jesteś, to zaśpiewaj”. Byłam bardzo zła, że śmieją się ze mnie, więc prawie ze złości w oczach chwyciłam gitarę i myślę sobie — Ja wam pokażę. Za-

śpiewałam chyba „Dianę”. Skończyłam. Cisza. Patrzę na mnie zupełnie zaskoczeni i żaden nie mówi. Oczywiście ewolucje taneczne odstawiłam niesamowicie — to już ze złości. Wreszcie poprosili mnie o następną piosenkę — więc zaśpiewałam „Tutti-frutti” — tu dopiero się roztańczyłam. Widziałam kątem oka, jak szepeją między sobą, ich twarze wyrażały aprobatę. Ale oczywiście mnie nie powiedziałeli nic, tylko już bez sprzeciwów i dyskusji spaliszali moje dane, kwalifikując mnie do konkursu.

Któregoś dnia, kiedy zamierzalam wreszcie odpocząć po pracowitym dniu, wpadł jak bomba kolega, który grał w zespole w Borku z wiadomością, że w Bytomiu ma się odbyć przegląd zespołów amatorskich i solistów z miast powiatowych województwa katowickiego. Jego zespół został już zgłoszony do przeglądu. Mieli nawet swoją solistkę, ale on bardzo chciał, abym zaśpiewała z nimi. Postanowiłam spróbować.

Po kilku próbach stawiłam się na przegląd. Występowałam mniej więcej w połowie programu, może w drugiej części. W każdym razie do naszego wyjścia przegląd przebiegał dość sprawnie, każdy według regulaminu prezentował jedną piosenkę. Nadeszła wreszcie kolej na mnie. Miałam wtedy spodnie, białą bluzkę i nieodłączną gi-

tarę. Co zaśpiewałam? Ulubioną „Dianę”, oczywiście. To, co się działo po skończonej piosence — nie da się opisać. Publiczność kategorycznie domagała się bisów — komisja zaś konsekwentnie nie zezwalała, zgodnie z regulaminem. Nie wiedziałam zupełnie, co się dzieje, czułam się jak na meczu piłki nożnej. Słyszałam tylko ogromny huk, wrzask i skandowanie mojego imienia. Marynarki, buty, koszule — wszystko fruwało w powietrzu. Chciałam ich uspokoić, ale nie słuchali. Konferansjera wcale nie dopuścili do głosu. Cóż miałam robić? Zaczęłam więc śpiewać znany wtedy szlagier „Marina”. Tu nastąpił chyba punkt kulminacyjny. Publiczność szalała. Raptem zauważyłam, że poważni, starsi panowie, którzy tworzyli komisję, ostrożnie wstają i opuszczają salę. Tak, nie myliłam się, komisja po prostu uciekała. Co działo się później, nie wiem, bo sama uciekałam po zakończeniu piosenki. Przegląd oczywiście na tym się skończył, rozentuzumowana młodzież nie pozwoliła nikomu wejść na scenę, a ja i mój zespół — zostaliśmy dyskwalifikowani.

Fakt ten został opisany natychmiast następnego dnia w miejscowej prasie pod nagłówkiem: „Skandaliczne zachowanie się młodzieży. Komisja nie była w stanie dokończyć przeglądu”.

Czy liczyłam wtedy na sławę? Nie... chyba nie. Może czasem myślałam o niej, ale nie wyobrażałam sobie, że mogłabym ją zdobyć. Śpiewałam zawsze dla przyjemności, lubiłam śpiewać, brałam udział w konkursach, przeglądach, ale nigdy z myślą o tym, że konkurs taki mógłby mi przynieść sławę. Cieszyłam się, kiedy publiczność oklaskiwała moje piosenki, kiedy widziałam, że jest zadowolona, że sprawiłam jej przyjemność.

Sława — wyraz ten oznaczał dla mnie coś nieosiągalnego — w moim pojęciu wyraz ten łączył się z pieniędzmi, z dobrobytem. Według mnie sławni ludzie prowadzili



beztroskie życie, bez problemów, bez zmartwień, mieli wszystko i nikt im tego nie zazdrościł. Czyżby napotykali trudności? Ależ skąd, wszystko przychodziło im tak lekko. Sława — to po prostu szczęście. Nie wyobrażałam sobie, że mogłabym żyć tak jak oni. Jakże byłam wtedy naiwna. Dziś wiem, że to pojęcie jest błędne, że sława — to nie znaczy szczęście. Ludzie sławni, to też ludzie, zwyczajni, normalni, obarczeni kłopotami, zmartwieniami, ponadto skazani na wieczną walkę o utrzymanie tej sławy.

c.d.n.

Opr. A. KRYSZKIEWICZ